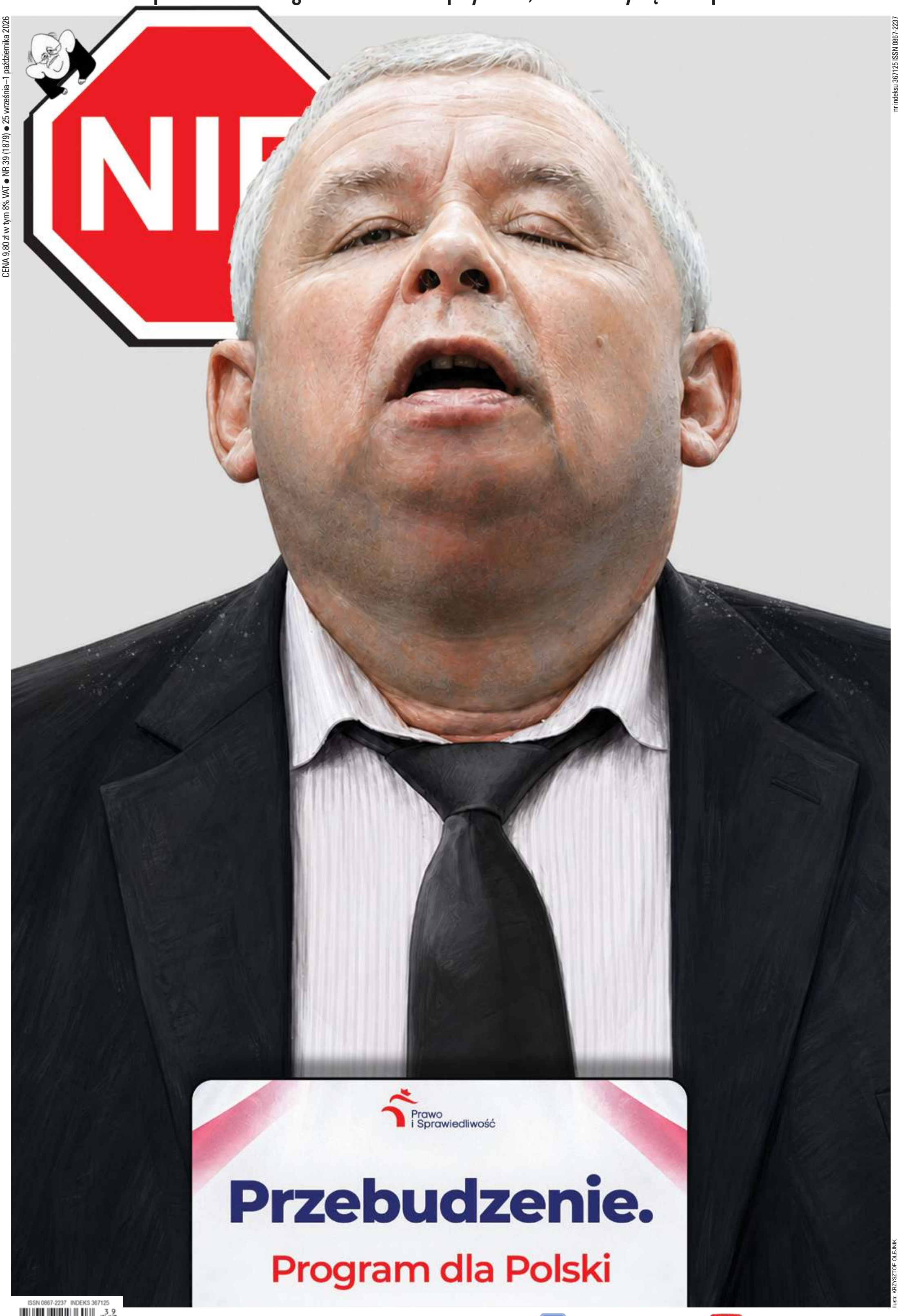
Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 39 (1879) ● 25 września–1 października 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 610393d1aa

WOJNA DOMOWA

Nie bez rozczulenia przypatrujemy się pikiecie aktywistów „Gazety Polskiej" pod Trybunałem Konstytucyjnym. Zdaje się, że to było ledwie wczoraj, kiedy to „nasza strona" – wojownicy konstytucji, rycerze trójpodziału władz, obrońcy praw kobiet – stali w tym samym miejscu, wierząc, że walczą w dobrej sprawie, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, przyniesie pokój, praworządność i sprawiedliwość. A teraz premier posyła swoją „prawą rękę" do sądu konstytucyjnego, bo nie chce być „ciotuleńką", „ważni politycy kolacji rządzącej" opowiadają prorządowym mediom, że „są argumenty prawne i one mogą być siłowe", zaś wybitni konstytucjonaliści usiłują wytłumaczyć rządowi, że w polskim modelu konstytucyjnym „TK ma być niezależny i składać się z wybitnych, apolitycznych prawników". Tak sobie myślimy, że po tamtej stronie czuliśmy się odrobinę lepiej. W gruncie rzeczy jest to sprawa smaku.

Szymon Hołownia został jednogłośnie wybrany przewodniczącym klubu parlamentarnego Polski 2050. „Gdy lider-założyciel chce stanąć na pierwszej linii, naturalną i jedyną mądrą decyzją szefa klubu jest zrobić mu miejsce i przekazać pałeczkę" – ogłosił Paweł Śliz, który grzał Hołowni stołek od września 2024 r. Coś nam się przypomniało: „Stawiam dobro kraju ponad własne ambicje. Każdy z nas postąpiłby tak samo. Nie czas na własne aspiracje, gdy płonie dom. Musimy razem ugasić ten pożar, innej drogi nie ma" – przemawiał Borys Budka latem 2021 r., kiedy musiał podnieść dupę z fotela szefa PO, bo z Brukseli na białym koniu powrócił Donald Tusk. Były ponoć kiedyś takie czasy, że partie polityczne wybierały swoich przywódców spośród konkurujących z sobą na wizję i program kandydatów. Ale kto by to pamiętał.

Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak zobaczyła na ulicy, jak matka szarpie dziecko i odzywa się do niego niemile. Rzeczniczka zainterweniowała i nie spotkała się z wdzięcznością. Wobec czego zażądała interwencji policji, a kiedy policja odmówiła, skierowała sprawę do sądu. Sąd nie stanął na wysokości zadania, mimo interwencji ze strony biura rzecznika. Rozczarował również kurator sądowy. Ale pani rzecznik się nie poddała: osobiście zainterweniowała u komendanta stołecznego i wreszcie dwójka smarków w wieku trzech i czterech lat trafiła tam, gdzie jest miejsce dzieci: do domu dziecka. Kiedy gówno trafiło w wentylator w postaci Kanału Zero, Horna-Cieślak ogłosiła, że w mieszkaniu podczas czynności policyjnych znaleziono dwie butelki piwa, więc wyrzucenie rodziców z domu i odebranie im dzieci było w pełni zasadne. Ponadto swoją interwencję tłumaczyła na Iksie w sposób następujący: „Poza stosowaniem przemocy fizycznej Matka wyzywała dziecko w wulgarny sposób w tym m.in. »ty k****«" – choć z opisu sytuacji można wywnioskować, że kurwa była skierowana raczej do niej niż do trzylatki. Ta zniewaga krwi wymaga.

Straszna krzywda spotkała naszego Władzia. Już, już leciał do Waszyngtonu na spotkanie na najwyższym szczeblu, skarpetki spakowane, lista prezentów dla dzieci zrobiona – aż tu nagle przyszła hiobowa wieść: Pete Hegseth nie może się spotkać z polskim wicepremierem, bo musi wziąć udział w kołysaniu jaj chińskiego prezydenta. Opozycja zaczęła szemrać, że to na pewno dlatego, że Donald kocha tylko Natrakiego, na co rząd – w wysokiej osobie wiceszefa kancelarii premiera Jakuba Stefaniaka – odparował, że dochodzą go słuchy o zakulisowych działaniach pisiarzy, którzy wysyłają emisariuszy do USA, by opóźnić decyzję w sprawie budowy Fort Trump, żeby rząd nie miał sukcesu. Towarzyszące nam poczucie zażenowania ma wiele obliczy. Z jednej strony nieco nam głupio, że wiceszef polskiego rządu biega z wywalonym językiem za alkoholikiem z symbolami krucjat wydzierganymi na piersi – i do tego jeszcze dostaje kosza. Z drugiej zaś – że w polskiej klasie politycznej istnieje konsensus co do żebrania o obce wojsko na polskiej ziemi i wszyscy są strasznie dumni, że jesteśmy gotowi zapłacić za tę okupację więcej niż ktokolwiek inny w Europie. Nie o take Polske walczył Lechu, gdy negocjował z Jelcynem wyjście Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej.

A skoro już jesteśmy przy Wielkim Bracie zza Oceanu: „Newsweek" i Radio Zet donoszą, że na Polsko-Amerykański Szczyt Ekonomiczny organizowany w Nowym Jorku przez Fundację Centrum Strategii Rozwojowych pod patronatem Kancelarii Prezydenta RP można było kupić bilety. A konkretnie 13 biletów: jeden platynowy, cztery złote, osiem srebrnych. Pakiet Platinum za 100 tys. dolków gwarantował rozmowę z preziem jeden na jeden. Pakiet Gold – 50 kafli – spotkanie w gronie intymnym. Pakiet Silver – 25 tysi – oferował randkę z głową państwa, ale w towarzystwie siedmiu innych wybrańców. Władza i jej media nie posiadają się z oburzenia, Kancelaria Prezydenta wszystkiemu zaprzecza – a nas cieszy i jedno, i drugie. W USA tego typu kupczenie dostępem jest normą, której nikt się nie dziwi. Optymistyczny wniosek jest taki, że u nas nie. I chyba jeszcze długo, długo nie.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Październik 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Świętego Sislaina

Maria i Lech Kaczyńscy przypuszczalnie sami sprowokowali katastrofę smoleńską, przewidując, że bez niej przyjdzie im w przyszłości czytać felietony ich córki Marty. Zamieszcza je tygodnik „wSieci". Sierotka streszcza w nich wszystkie obiegowe formułki PiS, niczego nie dodając z własnego wyczerpanego już zapewne mózgu. Np. cytuję: „Postkomunistyczne struktury nie utrzymywałyby się, gdyby istniał jednoznaczny opór społeczny przed utrzymywaniem elit – pokłosia PRL. Sytuacja przeciętnego Kowalskiego byłaby lepsza, bo miałby on szansę na równoprawną konkurencję" (nr 41). To znaczy gdybym ja nie drukował felietonów, Kaczyńska, która wzięła się z nowej elity, byłaby Passentem.

Świętego Firmina

Do sejmu wpłynął projekt ustawy o państwowej pomocy dla byłych opozycjonistów w PRL, którzy są teraz w nędzy. Mieliby otrzymywać 400 zł miesięcznie. W ćwierć wieku po zgonie PRL dzielenie biedaków wedle stosunku do tego państwa wydaje się nonsensowne. Powinien powstać społeczny fundusz pomocy zasilany przez tę większość byłych opozycjonistów, którzy w wyniku zmiany ustroju uzyskali wysokie dochody we władzach państwowych, zarządach spółek i innym biznesie, mediach, dyplomacji. Ja w PRL zwalczałem opozycję, ale nie było w tym niczego osobistego. Dlatego chętnie wesprę tych, co marnie wyszli na swoim zaangażowaniu przeciw Polsce Ludowej. Zrobię to nawet z satysfakcją polityczną.

Świętego Wilfreda

Faszystowska organizacja Falanga ustawiła na stołecznym cmentarzu na Służewcu koło kościoła św. Katarzyny nagrobek Dawida Wildsteina, publicysty prasy nacjonalistyczno-prawicowej, miłośnika PiS. Ozdobiono go gwiazdą Dawida i datą śmierci przewidzianą na grudzień tego roku. Widzimy więc, że narodowcy-antysemici walczą z narodowcami-filosemitami. Ta trzeciorzędna różnica już doprowadza do nienawiści. A przecież z tego, co młodszy Wildstein pisze, jakkolwiek by się nazywał, wynika, że to goj. Nie jestem rasistą, ale darwinistą. Aż tak głupi Żyd istniałby w sprzeczności z doborem naturalnym regulującym przetrwanie.

Świętego Geranda

Telewizje przez kilka dni nadawały programy żałobne z okazji śmierci aktorki Anny Przybylskiej! Na około 20-osobowym zebraniu redakcji „NIE", osób od 20. do 90. roku życia, zapytałem, czy ktoś znał nazwisko lub twarz Przybylskiej, zanim umarła. Nikt się nie zgłosił. Z braku tematów telewizje awansują trupy. TVN pokazała np. w „Faktach", że dziki wykąpały się w wodzie. Ja też, ja też, ja też!

Świętego Justyna

Spór publiczny między Kingą Dunin a Ignacym Karpowiczem wygasł, zanim zaspokojona została moja ciekawość. Tyczy się ona tego, skąd 60-letnia kobieta, nawet feministka, ma tyle siły, żeby zgwałcić 38-letniego samca. I – co dla mnie najważniejsze – jak można siłą wywołać erekcję. Pokaz byłby bezcenny.

Świętej Teresy d'Avila

Przeczytałem bardzo ciekawą książkę Daniela Costelle o niemieckich jeńcach w USA. Było ich 380 tys. Niewola amerykańska stanowiła najbardziej rozkoszne miejsce dla każdego żołnierza II wojny. Niemcy mieli takie same warunki życia, żarcie, żołd jak żołnierze amerykańscy. W obozach rządzili hitlerowscy gestapowcy. Wydawali wyroki śmierci na jeńców-antynazistów lub podejrzanych o pójście do niewoli z własnej woli. Amerykanie nie ingerowali. Okazało się, że sądy kapturowe odbywały się na polecenie Berlina, żeby zniechęcić żołnierzy niemieckich do wyrywania się do niewoli. W obozach rządzili hitlerowcy, powiewał sztandar ze swastyką, maszerowano w takt nazistowskich pieśni, np. o krwi Żydów, którą się wytoczy. Uciekinierom z obozu pomocni zaś byli właśnie amerykańscy Żydzi. Antynazistów wsadzano dla ochrony do oddzielnych obozów, ale pobyt w nich źle wróżył ich rodzinom w Niemczech i im samym po powrocie do ojczyzny. Amerykańscy oficerowie kazali się pozdrawiać „heil Hitler", co wynikało z przepisów Konwencji Genewskiej nakazującej jeńcom salutowanie amerykańskim oficerom tak samo jak swoim własnym w Niemczech. Czyta się to jak political fiction.

Świętej Edwigi

Premier Kopacz głosi, że nieważny jest piar, ale na szczęście sama nie wierzy w to, co mówi. W jednym telewizyjnym bloku reklamowym zalecają się dwa banki. Jeden mówi, że pożycza na 6 proc. rocznie. Drugi, że bierze tylko 10 zł miesięcznie od każdego pożyczonego tysiąca. Wzięcie ma ten drugi, bo co to jest 10 zł. Tymczasem małe dziecko wam policzy, że 10 zł miesięcznie oznacza 12 proc. rocznie. Dwa razy tyle, ile pierwszy bank, i maksimum odsetek, jakie prawo pozwala naliczać wierzycielom. Zręczna reklama całkowicie usypia rozum, szkolna nauka rachunków jest więc zupełnie zbędna.

Świętego Boduena

Daniszewska wyjechała do Mielna nad morzem i upija się tam w knajpie o nazwie PRL. Azor z tęsknoty zajął się gryzieniem jej nowych butów sporządzonych przez szewca ze skóry prawdziwego krokodyla. Krokodyle są pod ochroną, a wwóz ich powłok do Polski surowo zabroniony. Gdyby Daniszewska wyszła w tych butach, poszłaby siedzieć, i to boso. Obuwie zabrano by bowiem jako dowód rzeczowy. Skąd u psa tyle mądrości i znajomości prawa, nie mogę dociec.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Tory

Moja córka planowo chudnie, zięć ma sraczkę, pasierbica kaca. Tyle nieszczęść w jednej rodzinie, że pora umierać. A w każdym razie iść spać, bo to forma zastępcza śmierci. ❑



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Romanowski w Skiroławkach

Jak każdy chyba w naszym pięknym kraju, łamię sobie głowę, usiłując dociec, gdzie może ukrywać się Obywatel Romanowski. W pierwszej kolejności wyeliminowałem Naddniestrze. Kto o zdrowych zmysłach, pragnąc pozostać w ukryciu, wysyła korespondencję z miejsca faktycznego pobytu? Choć z drugiej strony... najciemniej pod latarnią! Pozostaje jednak również trop sercan. Serce to po łacinie *cor*. Obywatel Romanowski jest niewątpliwie skarbem zarówno dla dzielnej opozycji pisowskiej, jak i dla rządzących – skarbem skwapliwie poszukiwanym. Otóż Księga Ksiąg wyraźnie wskazuje: „tam skarb twój, gdzie serce twoje" (*cor tuum*). Idąc tym tropem, przyjąłbym, że Obywatel Romanowski znajduje się w Kortumowie, w bliskim sąsiedztwie skarbu templariuszy. I nie trzeba chyba być Panem Samochodzikiem, żeby go tam złowić. Z drugiej strony nie chciałbym odrzucać metaforycznej interpretacji zwrotu „serce twoje". Tam skarb Polski, gdzie jej Serce. A Serce tej prawdziwej Polski, rzymskokatolickiej, bije obecnie najsilniej w Gietrzwałdzie. Tam zresztą nietrudno się teraz ukryć wobec ciągłego zamieszania i ruchu. Znowu jednak ten Gietrzwałd bliski brzmieniowo i geograficznie jest Jerzwałdowi, gdzie za życia mieszkał i tworzył, a obecnie wieczyście spoczywa mistrz Zbigniew Nienacki. Ale może jednak, miast włóczyć się po cmentarzach, Obywatel Romanowski zamienił toruńskie pląsy na swawolenie w Skiroławkach? Status numerariusza Opus Dei stanowiłby w takim przypadku doskonałą zasłonę dymną. Tak... po dłuższym namyśle stawiam na Skiroławki. Może jednak nie warto przeszkadzać mu w zabawie?

Grzegorz Ruch Lewic(z)

PS Skiroławki (podobnie jak Kortumowo) tak naprawdę nie istnieją. Ich pierwowzorem jest podobno właśnie Jerzwałd. Może więc także Obywatel Romanowski jest fikcją, postacią ze skandalizującej opowieści czy raczej złego snu?

Podwójna egzekutywa

Proponuję przeprowadzenie referendum konstytucyjnego razem z najbliższymi wyborami do parlamentu. Nasza konstytucja jest wadliwa, gdyż nie mówi wprost, jaki mamy system, kto tak naprawdę w Polsce ma rządzić. Niech naród się w tej sprawie wypowie. Podwójna egzekutywa, z którą mamy teraz do czynienia, nie służy powadze państwa, gospodarce ani bezpieczeństwu. To cud, że Polska się jeszcze rozwija i to dość szybko, ale na dłuższą metę tak się nie da.

Sławek

eprasa.pl 610393d1aa

Co naprawdę wywalczyła Solidarność



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tego nie krzyknął hibernowany w 1980 r. związkowiec, którego obudzili jak w „Seksmisji”. To krzyczą związkowcy dziś, w 2026 r., kiedy strajki są tak naprawdę zakazane.

Dzisiejsza ustawa o związkach zawodowych tkwi korzeniami w czasach Jaruzelskiego, gdy polityka władzy opierała się na obostrzeniach. Nowa władza po 1989 r. wcale nie miała zamiaru zmieniać tej polityki, a jedyny liczący się wówczas związek zawodowy roztoczył parasol ochronny nad rządem. Potem liberalna propaganda zbudowała narrację mówiącą, że strajki i bunty robią chuligani i roszczeniowa hołota – a media i szkoły prały mózgi tak długo, aż wszystkim się to utrwaliło. Tak oto demokratyczna większość demokratycznym strajkiem obaliła niedemokratyczną władzę, żeby wybrać demokratyczną, która demokratycznego strajku zakazuje.

Siedmiobój ustawowy

To oczywiście mocne uproszczenie. Historia stosunków pracy w III RP jest historią ich indywidualizacji, co mocno podkreśla prof. Anna Musiała, specjalistka zbiorowego prawa pracy na UAM w Poznaniu. Indywidualizacja i personalizacja podmiotów otworzyła szeroko drzwi do tzw. umów cywilno-prawnych – śmieciówek, samozatrudnienia, do marginalizacji zrzeszeń pracowniczych, w sumie: do postępującego demontażu ochrony pracy i prawa pracy. Ruch związkowy i zrzeszanie się były sprzeczne z neoliberalną doktryną, bo ona zakładała demontaż zbiorowego prawa pracy i zbiorowej reprezentacji, która blokowałaby „program reform”.

A był to program, który związki zawodowe z natury musiałyby blokować. Transformacja lat 90. była katastrofą społeczną i zdemolowała świat pracy, który do dziś nie może się podnieść, tresowany dodatkowo kijem praworządności, konsensusu i dialogu bez końca i o niczym.

Ustawa o związkach zawodowych bardziej ogranicza, niż pomaga. Wymusza pewne struktury zakładowe, które są bardzo autonomiczne w stosunku do związkowej centrali – co sprawia, że są mało skuteczne, gdyż ta autonomia oznacza małe wsparcie, a to z kolei ogranicza autonomię w relacji z zatrudnicielem.

Większy problem jest taki, że system przewidziany w ustawie o rozwiązywaniu sporów zbiorowych to jakiś siedmiobój, który należy odbyć, żeby doszło do strajku. Trzeba najpierw złożyć pismo o wszczęciu sporu zbiorowego, rozpoczynające etap rokowań. Termin: minimum trzy dni. Jeśli jest cień szansy na porozumienie, wyznacza się czas na refleksję. Poważne rokowania mogą potrwać nawet dwa tygodnie, a jeśli zakończą się fiaskiem, należy sporządzić protokół rozbieżności. Pierwsza okazja do przeciągania.

Następna przychodzi wraz z mediacjami – bo nawet o mediatora można spierać się tygodniami. Zanim rozpocznie się referendum strajkowe, może już być po sprawie. Np. przy zwolnieniach grupowych bywa tak, że zanim dojdzie do strajku, wszystkich zwolnią. W ten sposób można też przeciągać negocjacje płacowe – i zyskać rok bez dania pracownikom podwyżki.

Przeciwnik może też po prostu uznać, że spór zbiorowy jest nielegalny – i jedyną instytucją władną to rozstrzygnąć jest sąd. Wtedy pracownicy są udupieni – muszą czekać na decyzję sądu nie wiadomo jak długo, ale długo na pewno.

Doświadczenia z sądami są zresztą raczej średnie. Np. 21 września 2018 r. warszawski Sąd Okręgowy zawiesił prawo do strajku w PLL LOT. Czyli zawiesił prawo obywatelskie, co w nowej demokratycznej Polsce miało być niemożliwe; wyroki pozbawienia praw publicznych zapadały wyłącznie w niedemokratycznej przecież PRL. Ktoś palił świeczki o demokrację? Trudno mi sobie przypomnieć.

Grożenie konsekwencjami prawnymi i SLAPP-y (Strategic Lawsuit Against Public Participation – strategiczne powództwo wytaczane przeciwko udziałowi społecznemu; ulubiona przez korpo forma zastraszania pracowników i krytyków) dodatkowo wzmacniają presję na związkowców. Ktoś kiedyś zauważył, że niedługo na demonstracje i strajki będą wpuszczać tylko w krawatach, bo związkowiec w krawacie jest mniej awanturujący się. Żart przestaje być śmieszny, kiedy przypomnimy sobie „marsz niezadowolenia” OPZZ z 22 września 2025 r.; urządzony w sobotę, żeby nikomu nie przeszkadzać. Autocenzura związkowa wygładziła to tak, że protest przeszedł nieomal bez echa. „Niezadowolenie to się w książce skarg i zażaleń wpisywało. Na ulicę wychodzą ludzie wkurwieni” – komentowali oburzeni kunktatorstwem związkowcy.

Balceolit

O ile jednak prawo do manifestacji ulicznych nie jest w szczególny sposób naruszane, o tyle prawo do strajku jest właściwie fasadowe. Strajki, które się udały, należy traktować jako objaw heroizmu, lub co najmniej nadprzeciętnej determinacji – a przecież w koncept praw człowieka nie jest wpisany wymóg szczególnej determinacji. Np. żeby skorzystać z wolności słowa, nie musimy za każdym razem przechodzić niemożliwego do pokonania toru przeszkód. W przypadku strajku – musimy.

Politycy lewicy wyrażają czasem zdziwienie, że strajków nie ma. Może ludzie się boją? To też. Ale przede wszystkim i tak wytresowane przez kapitalizm związki zawodowe mają dodatkowy kaganiec – w ustawie o związkach zawodowych i ustawie o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, która uniemożliwia skuteczny strajk.

Owszem: w akcie desperacji nikt nie patrzy na ustawę. Ostatnio takie desperackie strajki wybuchły w Dino, w sierpniu tego roku protest pod ziemią rozpoczęli zdesperowani górnicy w kopalni Wujek, a rok wcześniej – w Silesii.

Ale my nie chcemy walczyć jak straceńcy. Chcemy korzystać z zawartego w systemie demokratycznym prawa człowieka do strajku – właśnie po to, żeby nie trzeba było aktów desperacji. Strajk jest desperacki z samej swojej natury, bo jest bardzo bolesny finansowo także dla pracowników.

Jest to konflikt interesów i obie strony boli, ale właśnie każdy ma prawo o swoje walczyć. Zatrudniciel ma pieniądze i zasoby, my – obywatelskie nieposłuszeństwo. To równoważy strony. Ale nie w Polsce.

To niesłychanie ponury zbieg okoliczności, że znów stoimy w obliczu podobnej katastrofy jak za Balcerowicza łupanego – i prawo do strajku staje się istotnym narzędziem obrony przed degradacją społeczną. My go nie mamy. Mamy jednak kilka przykładów, że strajk działa.

Gnieźnieński Jeremias, poznański Solaris, Valeo w Chrzanowie, Trzebini i Mysłowicach, Paroc w Trzemesznie, parę innych – były to strajki wygrane przez załogi ogromnym kosztem. Zeszłoroczne akcje w Jeremiasie i Solarisie były jak Wielki Post przed zwycięstwem nad kapitalistycznym diabłem. Odpowiednio 42 dni w Gnieźnie i 40 dni w Poznaniu. Wymagały wielkiej determinacji załóg atakowanych z ziemi i z powietrza. To nie żart. Próbowano omijać blokady i realizować dostawy śmigłowcami.

Kiedy w Solarisie zanosiło się na dłuższe strajkowanie, Wojciech Jasiński, przewodniczący tamtejszej Konfederacji Pracy, powiedział: „Będziemy wpierdalać tynk ze ścian, ale wytrzymamy”. W Jeremiasie zwolniony został – oczywiście niezgodnie z prawem – przewodniczący Mariusz Piotrowski. Mariusz co prawda wygrał w sądzie pracy powództwo o przywrócenie, ale do dziś nie jest wpuszczany na teren zakładu; firma płaci mu za nieprzychodzenie do pracy. Takie są realia walki o prawa pracownicze – i skutki dla nas indywidualnie.

Niesolidarnie i niegeneralnie

Praktycznie nielegalne są strajki solidarnościowe i generalne. Solidarnościowy pozwala na powstrzymanie się od pracy przez pół dnia. Generalny jest w świetle przepisów niemożliwy – prawo nie zakazuje go wprost, ale brak procedury prawnej, żeby go zorganizować. A jeśli procedury nie ma, to powstrzymanie się od pracy jest nieuzasadnione i staje się przyczyną do zwolnienia pracownika. Realizacja prawa obywatelskiego – jak się okazuje – wymaga procedury; to jak wypełnić kwit u sołtysa, żeby do miasta pojechać, bo inaczej ze wsi wymelduje…



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Co mogą zrobić związki zawodowe, gdyby pojawił się – znów – plan podniesienia wieku emerytalnego? Nic. Bo tu tylko strajk generalny. Co może zrobić górnictwo i energetyka wobec transformacji? To samo. Co zatem robi? Cmoka w pierścień ministra i czasem dostanie ochłapy.

A jeśli jakiś związek chce powalczyć? Nic z tego: ustawa wymusza zgodę większości. Nie wprost. Ale jeden bojowy związek logistycznie nie da rady zorganizować strajku, jeśli w zakładzie jest kilka innych, nastawionych wobec zatrudniciela klientystycznie.

Związkowcy, którzy podczas strajków zdobyli doświadczenie i wiedzę, jak odzyskać prawo do głosu i narzędzie do egzekwowania tego prawa, podkreślają: dialog społeczny ma sens wtedy, kiedy skończy się w rozsądnym czasie jakimiś uzgodnieniami przyjętymi porozumieniem. Jeśli jedna ze stron unika takiego rozwiązania, to oczywiste jest, że do żadnych uzgodnień nie dojdzie. Pozostają presja społeczna i nacisk ekonomiczny. I tu wychodzi paragraf 22 ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych: żeby doszło do strajku, który ma przerwać bezsensowne i nieskończone negocjacje, muszą się skończyć nieskończone i bezsensowne negocjacje…

Jedynym wyjściem z błędnego koła jest oddzielenie prawa do strajku od ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych. Spór zbiorowy to tylko sformalizowana prawnie forma dialogu, nic więcej. Strajk to strajk. Jest prawem bezwarunkowym.

Procedura powinna być prosta: wezwanie do strajku jest kierowane do załogi. Związkowcy informują, że negocjacje nie przyniosły skutku i wzywają do podjęcia strajku w określony dzień, np. od początku dniówki roboczej. Jedyny wymóg to zachowanie przyjętego minimalnego terminu od wezwania do rozpoczęcia strajku.

W polskim prawie zazwyczaj termin na odpowiedź czy przygotowanie wynosi 14 dni – i jako związki zawodowe czy organizacje społeczne takim zwykle się posługujemy, chyba że konkretna sprawa wymaga dłuższego lub krótszego terminu i jest on wyznaczony w odrębnych przepisach. Nie trzeba składać dodatkowych pism formalnych, uzasadniających – wystarczy informacja do zatrudniciela o terminie strajku. To właśnie oznacza bezwarunkowe prawo do strajku.

Takie rozwiązanie – lub bardzo zbliżone – obowiązuje w większości krajów UE. Często słyszymy, jak to Polska jest unijnym prymusem – tymczasem w zakresie prawa do walki o godne warunki pracy i płacy nasz kraj jest ponuro zacofany. Nie jest to zbyt zaskakujące, bo prawo do strajku w liberalnym raju jest jedynym prawem przeciętnego obywatela, które może wywołać reakcję na jego słuszne żądania. Nie ma co się oszukiwać: wolność słowa nie pomoże, bo nikt robola nie słucha. Jak mu się nie podoba, może – żeby zacytować eksprezydenta Komorowskiego – wziąć kredyt i zmienić pracę. Jest wolny.

Inicjatywa

Podczas niedawnego Kongresu Regeneracja w Dąbrowie Górniczej dużo miejsca poświęcono prawom związkowym. W panelu zatytułowanym optymistycznie „Strajki się wygrywa!” udział wzięli związkowcy, którzy przeprowadzili w swoich zakładach udane akcje strajkowe. Wiele pytań z sali dotyczyło tego, jak przeprowadzać bardziej zdecydowane działania, jak osiągać podobne sukcesy. Związkowcy zgodnie odpowiadali, że przeszkodą jest właśnie ustawa o sporach zbiorowych i tylko uwolnienie prawa do strajku od restrykcji może dać skuteczne narzędzie negocjacji, presji i walki.

21 maja Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości wydał opinię stanowiącą, że strajk jest jedną z form działalności związkowej chronionej konwencją 87. Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącą wolności związkowej. Polska ratyfikowała tę konwencję w 1957 r. Zdaniem MTS „władze publiczne powinny powstrzymać się od wszelkiej interwencji, która by ograniczała to prawo lub przeszkadzała w jego wykonywaniu zgodnie z prawem”.

Ruch związkowy w Polsce natychmiast podjął działania zgodnie z opinią MTS i przystąpił do przywracania praworządności w tym – najważniejszym dla wielu pracowników – obszarze prawa pracy. Podjęto próbę przeprowadzenia strajku w sieci sklepów Dino – bez referendum, w oparciu o opinię MTS. Wobec pozwów o nielegalny strajk przyjęto strategię opartą na opinii MTS, argumentując, że działanie związku było zgodne z aktem prawnym wyższego rzędu, czyli prawami człowieka.

Powstała też inicjatywa na rzecz zmiany ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych i uwolnienia prawa do strajku z absurdów obowiązujących przepisów. Będzie to wymagało zebrania podpisów i złożenia nowelizacji w formie obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej. Pracuje nad tym zespół związkowców z różnych organizacji i wspierające nas środowiska.

Praca jest potężna, ale musimy ją wykonać, bo antypracownicza polityka III RP przyniosła takie spustoszenia, że w kraju Solidarności zabroniony jest strajk solidarnościowy. O prawie do strajku, o które Solidarność walczyła, praktycznie zapomniano.

Karol Modzelewski, który wymyślił dla związku nazwę Solidarność, przesiedział 8,5 roku w peerelowskich więzieniach. Po latach powiedział, że za kapitalizm nie siedziałby nawet tygodnia. Gdyby związkowcy z tej wymyślonej przez niego Solidarności wiedzieli, że walczą o kapitalizm bez prawa do strajku – woleliby spać do 13.00.

JAROSŁAW NIEMIEC

eprasa.pl 610393d1aa

Dni, których jeszcze nie znamy



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czego chce polska lewica

Tysiąc dni minęło, od kiedy Nowa Lewica stała się częścią koalicyjnego rządu pod przewodem Donalda Tuska. Nowe wybory parlamentarne już za rok. Czas najwyższy na bilans zysków i strat.

– Tysiąc dni Lewicy w rządzie to tysiąc załatwionych spraw i tysiąc zmian, które udało się zrealizować – powiedział Krzysztof Gawkowski, wicepremier, minister cyfryzacji i wiceprzewodniczący Nowej Lewicy, podczas warszawskiej konferencji programowej tej partii. Gawkowski wymienił najważniejsze dokonania lewicowych ministrów koalicyjnego rządu. Przede wszystkim podwyżki płac dla nauczycieli, programy budowy mieszkań na wynajem, programy wspierania rodzin oraz polityki prodemograficznej. Za sukces uznał regulacje dotyczące in vitro. Dzięki dostępowi do tej metody w Polsce urodziło się już 15 tys. dzieci. Dzięki determinacji ministra rozwoju i technologii Tomasza Lewandowskiego powstał „największy rządowy program mieszkaniowy" w ciągu ostatnich 30 lat. Dzięki niemu w Polsce wybudowano 34 tys. mieszkań na wynajem, a budżet prospołecznych programów mieszkaniowych w 2027 r. przekroczy 4 mld zł.

Partia samych sukcesów

Jako sukces współrządzącej Lewicy wymienił Gawkowski także program Aktywny Rodzic. Jego budżet wynosi już 10 mld zł. Jednym z jego skutków – przypominał Gawkowski – jest 10-krotny spadek opłat za żłobki. Znaczną część swego wystąpienia wiceszef Nowej Lewicy poświęcił cyfryzacji i edukacji. Poinformował, że do polskich szkół trafiło ponad 730 tys. laptopów i tabletów, uruchomiono w nich 12 tys. pracowni sztucznej inteligencji. Chwalił system e-doręczeń. Według jego danych w ciągu półtora roku wysłano za pośrednictwem nowego systemu ponad 100 mln elektronicznych listów poleconych. A to oznacza również oszczędność papieru i w efekcie około 6,5 tys. niewyciętych drzew. Ważnym osiągnięciem Lewicy są wprowadzone do administracyjnej praktyki transkrypcje aktów zawartych za granicą małżeństw par jednopłciowych. Już 400 polskich dokonało ich rejestracji w Polsce. W czasie konferencji informowano też, że takie akty będą honorowane w ZUS-ie. Dzięki temu pary jednopłciowe będą mieć tam prawa podobne heteroseksualnym małżeństwom.

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk przypomniała, że już ponad milion emerytów pobiera rentę wdowią. Wydaliśmy ponad ponad 10 mld zł na opiekę nad małymi dziećmi, na żłobki, „babciowe", na cały program Aktywny Rodzic. – Mogę mówić o ponad stu gminach, w których do niedawna nie było ani jednego żłobka, ani jednego miejsca opieki nad dzieckiem, a dzisiaj są – podkreśliła. Przypomniała podniesienie zasiłku pogrzebowego, od lat niewaloryzowanego.

Przestrzegała też przed liderami Konfederacji i Korony Polskiej. Bo kiedy oni „mówią o wywróceniu stolika", to „chodzi im o stół w waszym domu". – Świąteczny stół z rybą i barszczem, bo oni głosowali przeciwko wolnemu od pracy dnia Wigilii – przypomniała kompromitujące konfederatów głosowanie.

Dość brunatnej Polski

– Polska nie chce dzisiaj brunatnej koalicji PiS i Konfederacji. Polska dzisiaj chce otwartego, dumnego państwa europejskiego, gdzie szanuje się człowieka i wartości – deklarował Gawkowski.

– Są tacy, którzy politykę chcą budować dla siebie podobnych i czerpią perwersyjną przyjemność w sprawianiu innym przykrości i ograniczaniu im praw – krytykowała polską prawicę wicemarszałkini senatu Magdalena Biejat. Deklarowała, że Lewica będzie walczyć do skutku o wprowadzenie legalnej, bezpiecznej i dostępnej aborcji. Aby „żadna kobieta nie musiała się bać prokuratora, policjanta czy »płodziarzy« stojących pod szpitalami i zastraszających lekarzy i pacjentki".

– Lewica nie klęka przed największymi, nigdy nie będzie klękała przed głupotą – przekonywał współprzewodniczący Nowej Lewicy, marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty. – Jeśli ktoś sieje wojnę, nie zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla. Tylko my to mówimy – dodał. Zadeklarował, że Lewica nie będzie klękała też przed Kościołem katolickim ani zagranicznymi, zwłaszcza amerykańskimi korporacjami, które będą płacić w Polsce należne podatki.

Opowiedział się też za „polityką wartości, a nie transakcji". Przypomniał koalicjantom, że kopiując program prawicy, nie wygra się z prawicą.

– Ani kroku wstecz przed prawicą. Zło to zło, dobro to dobro. Głosowało na nas 11 milionów ludzi. Mówię do koalicjantów: obudźcie się. Mamy mandat do tego, aby rządzić tym krajem, nikt nam go nie zabierze, tylko musimy mądrze, rozsądnie rządzić. Dlaczego nie jest procedowana kwestia aborcji. Czego się boimy? Myślimy, że ktoś nas pochwali za to? Że prawica nagle powie: będziemy na was głosować. Nie będą na nas głosowali, bo nas nienawidzą, bo jesteśmy ludźmi tolerancyjnymi, a oni się tolerancji boją – grzmiał. – Państwo prawicy jest silne wobec słabych i słabe wobec silnych. Państwo prawicy to nakazy i zakazy. Lewica to jest otwartość, to tolerancja – przypominał. – Co się stało, że ci, którzy przyjmowali ukraińskich uchodźców, dziś plują na nich? – pytał. – Nie jesteśmy idealni, ale staramy się. „Nie" dla faszyzmu, który w Polsce ma twarz Konfederacji – zagrzewał do wyborczego boju. I wieszczył, że w przyszłym sejmie Lewica będzie miała przynajmniej 60 parlamentarzystów. Wtedy zasili proeuropejską, antyfaszystowską koalicję. Będzie miała silniejszą pozycję niż teraz. Zrealizuje więcej ze swego programu. W czasie tysiąca dni nowej kadencji.

Tysiąc nowych nieznanych dni

Aby mieć 60-osobowy klub w przyszłym sejmie, w wyborach parlamentarnych Nowa Lewica i wspierające ją mniejsze ugrupowania muszą uzyskać przynajmniej kilkanaście procent poparcia. Teraz w sondażach poparcie dla niej nie przekracza 10 proc. Konkurencyjnej partii Razem zwykle sondaże nie dają szans na przekroczenie pięcioprocentowego progu wyborczego. Zwykle jej poparcie oscyluje wokół 3 proc. uprawniających do pozyskania dotacji z budżetu państwa. Jakie poparcie zyska Nowa Fala Joanny Senyszyn, trudno określić, bo nie oceniano jej jeszcze w poważnych sondażach. Sukcesem byłoby poparcie porównywalne z partią Razem.

Lewicowi wyborcy, zwłaszcza ci starsi wiekiem, preferują jedność lewicy. Czyli wspólną listę wyborczą. Czy taka powstanie? Włodzimierz Czarzasty kilkakrotnie publicznie zapraszał Nową Falę i Razem na wspólna listę. Cóż, jako lider największego ugrupowania może sobie na taką politykę miłości pozwolić. Najłatwiej zapewne takie porozumienie osiągnęłyby Nowa Lewica i Nowa Fala. Pytani przeze mnie lewicowi wyborcy nie dostrzegają fundamentalnych różnic programowych między obu formacjami. Spór postrzegają przede wszystkim jako personalny. „Ech, gdyby liderzy zgodnie uchylili kapeluszy, przekreślili przeszłość grubą czerwoną kreską" – wzdychają.

Zapytałem Włodzimierza Czarzastego o taką wspólną listę. Nie widzi przeszkód, by iść do wyborów z Nową Falą. Inaczej jest w przypadku Razem. Kiedy dziennikarze TVN24 poinformowali, że trwają rozmowy między Razem a Nową Lewicą, to liderzy Razem szybko zaprzeczyli. Posłanka Marcelina Zawisza napisała na platformie X: „Razem nie prowadzi żadnych rozmów z Nową Lewicą. Startujemy samodzielnie". A cytowany w „Gazecie Wyborczej" anonimowy aktywista Razem zdradza, że liderzy obiecali wielu swoim ludziom, którzy od lat czekają na to, że zostaną posłami, dobre miejsca na listach. „Gdyby ci ludzie dowiedzieli się teraz, że scenariusz wspólnego startu z Nową Lewicą jest brany pod uwagę, to w ogóle przestaliby w swoich okręgach pracować" – twierdzi. Według niego dodatkowo podobno „Zandberg jest zakładnikiem swoich struktur. Tam nie znoszą rządu i Tuska. On sam może i by z Czarzastym się dogadał, ale jak wytłumaczyć to działaczom? Oni uważają, że im to szkodzi". Popularny jest też pogląd, że Razem może zaryzykować samodzielny start, bo w ostatnich sondażach oscyluje wokół progu wyborczego. Jeśli przekroczy go, to znów będzie miała swe koło poselskie. Lewicowy głos w prawicowym parlamencie. I jeszcze subwencję wyborczą. Jeśli progu wyborczego nie przekroczy, to na pewno osiągnie 3 proc. poparcia uprawniające do otrzymania subwencji wyborczej. Wtedy będzie dużym lewicowym klubem dyskusyjnym. Startując z listy komitetu wyborczego, Nowa Lewica nie ma prawa do osobnej subwencji. Jest zależna od silniejszych partnerów.

Dla liderów Nowej Lewicy porozumienie z Razem nadal jest możliwe. Nawet zawarte w ostatniej chwili przed wyborami. Bardziej sceptycznie podchodzą do tego działacze lokalni.

Zwłaszcza tam, gdzie doszło do kłótni z działaczami Razem. Tam współpracy może nie być pomimo porozumień zawartych między krajowymi liderami.

Zapewne w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych w Polsce dojdzie do walki między blokiem partii prawicowo-katolickich i brunatnych a blokiem centrowo-prawicowym z KO i PSL wspieranym przez Nową Lewicę i inne lewicowe ugrupowania. Lewicowi wyborcy staną przed alternatywą. Wesprzeć skuteczną antyfaszystowską, lewicową Nową Lewicę, choć realizuje ona tylko część ze swego lewicowego programu. Kooperuje z ohydnymi ideowo libkami i ludowcami. I tym lewicowe cnoty traci. Czy zagłosować na ideowych lewicowych maksymalistów z Razem, które do parlamentu może nie wejść? A jeśli nawet wejdzie, to i tak niczego tam nie zwojuje, bo skazuje się na kolejne tysiąc dni samotności. Za to cnoty swe ochroni i sztandar lewicy wzniesie ponad trony.

Tak to los polskiej lewicy – a przede wszystkim zdobycie władzy przez polskich narodowo-katolickich faszystów – zawiśnie na lewicowej wrażliwości polskich wyborców.

PIOTR GADZINOWSKI

Kto da Polakom tańsze paliwo?

Tańce wojenne na Bliskim Wschodzie trwają w najlepsze, a w ich efekcie ceny paliw biją kolejne rekordy. Po drugiej stronie globu, w sercu Europy, trwa inna wojna, choć też z ropą w tle. Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk chcą dać tanio zatankować Polakom, a gdzie dwóch się kłóci, tam koncern korzysta.

Reguły gry

Sejm przyjął rządowy projekt ustawy wprowadzającej podatek od nadzwyczajnych zysków firm paliwowych. Projekt zakłada, że stawka nowej daniny wyniesie 60 proc. podstawy opodatkowania, którą będzie nadwyżka przychodów uzyskanych ponad poziom, jaki firma osiągnęłaby przy zastosowaniu swojej średniej marży sprzedaży z 2025 r. powiększonej o 20 proc. Dzięki tej matematyce do budżetu państwa ma wpaść ok. 4 mld zł. Kasa ma pomóc zrealizować kolejny etap programu Ceny Paliw Niżej (CPN) bez uszczerbku dla państwowych finansów.

To drugi rządowy projekt w tej sprawie. Pierwsza ustawa została skierowana przez prezydenta Karola Nawrockiego do Trybunału Konstytucyjnego w trybie kontroli prewencyjnej. Nawrocki uznał rządowy podatek za nielegalny, przede wszystkim dlatego, że łamie fundamentalną zasadę lex retro non agit – czyli że prawo nie działa wstecz. Pierwsza wersja ustawy miała wejść w życie w sierpniu br., ale zakładała, że koncerny zapłacą 60 proc. podatku od zysków, które firmy wypracowały już wcześniej – od marca 2026 r. Kancelaria Prezydenta argumentowała, że państwo nie może zaskakiwać podatników i zmieniać reguł gry w trakcie trwania roku podatkowego. Rząd zastosował więc legislacyjny (i polityczny) unik. Poprawiona wersja ustawy o windfall tax ma wejść w życie 1 listopada br., a podatek ma formalnie objąć okres od marca

Podczas ostatniego weekendu lewica ruszyła w wyborczy bój, może nieostatni. Rozpoczęła wyborczą standuperką. Na głównego przeciwnika wybrała sobie prawicę, która łączy liberalizm gospodarczy z konserwatyzmem kruchtą podszytym. Dlatego główny akcent wystąpień padał na postulat wolności czy raczej autonomii moralnej jednostki. Do tego, co zrozumiałe, lewica dodaje postulat równych szans dla każdego obywatela – pochodzącego z biednej czy bogatej rodziny. W ustach aktualnego kierownictwa wybrzmiała też troska o polskiego przedsiębiorcę Janusza.

Dwie opowieści

W szkole, w mediach, w potocznej świadomości dominują dwie narracje. Tworzą one swoiste ciemne okulary do oglądu świata społecznego.

Ślepi na jedno oko są liberałowie gospodarczy w różnych taktycznych kostiumach. Prawią oni o cudach wolnego rynku, o przedsiębiorczości i wolności głosowania – po marketingowej obróbce młodych fejsbuców i starszych Jarząbków. Druga narracja należy do prawicy bajającej o narodzie jako wielkiej rodzinie, najwyżej podzielonej na parafie i diecezje. W jednej jednostka jest przedsiębiorcą samego siebie, walczy z innymi o sukces i zawodową pozycję. W drugiej – myśli za nią wódz, a dylematy moralne rozstrzyga hierarchia Kościoła. Ale za to wszyscy jej członkowie są równi w swoich obowiązkach i zadaniach. Na dodatek mogą liczyć na lepsze życie w niebiańskim lokalu.

Obie narracje przeplatają się w różnych proporcjach. Służą bowiem maskowaniu przyczyn sytuacji życiowej ludzi. Tę zaś określa miejsce jednostki w społecznym podziale pracy i własności. Obywatele są równi, bo mają po jednym głosie? Ale jakie są ich społeczne adresy? Dopiero tutaj pojawiają się klasy. Jedni obywatele to rentierzy, właściciele januszexów, udziałowcy globalnych korporacji. Inni będą pracującymi na ich rzecz dobrze opłacanymi specjalistami od wyszukiwania lokat kapitału, skutecznego marketingu czy coachingu. Ogromna większość wykonuje jednak pracę na podrzędnych stanowiskach w budżetówce, w polskich bieda-firmach, w usługach dla biznesu, w strefach specjalnych, w transporcie, w logistyce. Ostatnio – przy budowie centrów danych, bo do polskiej prowincji przenoszą się kolejne inwestycje zagranicznego kapitału. Prowincja zawsze może wszak zaoferować tańszą energię, miejsca do składowania odpadów i niszczenia ekosystemów!

W narracji nacjonalistycznej żaden członek dumnego narodu nie kłania się rzeczywistym czy malowanym wrogom ojczyzny – nawet kosztem 20-procentowych wydatków na zbrojenia. Dyplomacją patriota – nawet lewicowy – się brzydzi. Ale na patriotę wracającego z marszu

eprasa.pl 610393d1aa

Wojna o dystrybutory



2026 do marca 2027 r. Krótko mówiąc, nowa ustawa wprowadza zasadę, że w listopadzie firmy nie zabulą „kary za przeszłość", tylko pierwszą zbiorczą zaliczkę na poczet podatku, który zostanie ostatecznie podsumowany w 2027 r.

Choć ustawa dopiero trafiła do senatu, nietrudno się domyślić, co zrobi z nią Karol Nawrocki, szczególnie że prezydent skierował do sejmu własny projekt. Według prezydenckiego pomysłunku należy obniżyć do zera podatek od sprzedaży detalicznej paliw do końca marca 2027 r., elastycznie obniżać stawki akcyzy z ramienia Ministerstwa Finansów oraz wprowadzić ustawowy limit na marże koncernów paliwowych. Kancelaria Prezydenta szacuje, że dzięki tym zabiegom ceny na stacjach mogłyby spaść o 1,70–2,60 zł na litrze, a inflacja o ok. 1,2 pkt proc.

Pomysł prezydenta ubrany w troskę o uciemiężonego kierowcę to w rzeczywistości kolejny akt wojny podjazdowej między Pałacem Namiestnikowskim a rządem Tuska. Co może z niego wyniknąć?

Metoda na Belweder

PKN, czyli Paliwo Kosztuje Normalnie (lub jak śmieją się złośliwi: Pomysł Karola Nawrockiego) jest rozwiązaniem fatalnym na tak wielu polach, że nie wiadomo, od którego zacząć.

Według projektu, odgórnie, w drodze rozporządzeń miałyby być zamrażane trzy rodzaje marż: rafineryjna (zarobek na przerobie ropy naftowej), importowa (zarobek firm sprowadzających gotowe paliwa do kraju) oraz hurtowa (inkasowana przy sprzedaży hurtowej m.in. dla stacji benzynowych).

Cenę ropy i paliw dyktuje światowy rynek. Mówiąc bardziej obrazowo, ceny na międzynarodowych giełdach zależą od tego, co dzieje się na świecie – sankcji, wojen czy awarii rafinerii naftowych. Polska nie ma na to żadnego wpływu. Krajowe rafinerie pokrywają tylko część zapotrzebowania na paliwa, resztę trzeba importować. Jeśli państwo urzędowo zamrozi marże, importerzy i hurtownicy szybko się zorientują, że gówno zarobią. Po diabła sprowadzać paliwo z zagranicy, płacić za ubezpieczenie, transport, magazynowanie i ryzyko kursowe, skoro nie można na tym zarobić?

Koszt produkcji własnej Orlenu jest zazwyczaj niższy niż cena gotowego paliwa na giełdach. Różnica między niskim kosztem przetworzenia ropy a wysoką światową ceną rynkową to słynna gigantyczna marża rafineryjna. Orlen kalkuluje ceny hurtowe w kraju nad Wisłą na podstawie tzw. parytetu importowego. Oznacza to, że ustala swoje ceny na takim poziomie, jakby paliwo było sprowadzane z zagranicznych giełd (włączając koszty transportu). To ekonomiczny mechanizm obronny, który chroni Polskę przed spekulacją z zagranicy i gwarantuje, że prywatnym importerom wciąż opłaca się łatać dziury w krajowym zaopatrzeniu. Czyli że paliwa na stacjach nie zabraknie. Dowcip w tym, że ten mechanizm rynkowy przy okazji generuje wysokie ceny na pylonach i rekordowe zyski samego Orlenu.

Koncern to spółka akcyjna notowana na giełdzie. Państwo ma w niej część udziałów, reszta należy do prywatnych inwestorów. Zgodnie z polskim prawem zarząd Orlenu ma ustawowy obowiązek działać z należytą dbałością o spółkę. Nie może sprzedać paliwa za pół darmo i generować miliardowych strat. Działanie na szkodę spółki grozi pierdlem i gigantycznymi karami.

Jeżeli zaniżanie cen wynikałoby z ustawowego obowiązku (np. marży narzuconej rozporządzeniem), to zarząd co do zasady nie działałby bezprawie. Nie zmienia to jednak faktu, że skutki tego fikołka (z wyżej wymienionych powodów) byłyby smarkate. Właśnie dlatego

rząd w przeciwieństwie do prezydenta uznał, że najbezpieczniej dla rynku będzie pozwolić Orlenowi te miliardy zarobić, a później skasować je w nowym podatku i rozdać ludowi w formie dopłat.

Można mieć przeświadczenie graniczące z pewnością, że Nawrocki do tego nie dopuści. Rząd ma jednak pewną możliwość, żeby weto prezydenta zniwelować.

Atak od tyłu

W obecnej wyjątkowo fatalnej sytuacji geopolitycznej na Bliskim Wschodzie brak podatku od nadzwyczajnych zysków oznacza, że zysk firm paliwowych będzie tylko większy. Orlen, którego blisko 50-procentowym udziałowcem jest państwo, kontroluje ok. 80 proc. tego rynku. Według luźnych szacunków specjalistów koncern może zamknąć ten rok z zyskiem w wysokości ok. 30 mld zł.

Windfall tax płaci spółka, państwo bierze wtedy kasę tylko dla siebie. Pozostali właściciele Orlenu dostają okrojony zysk. Skarb państwa jako właściciel blisko połowy udziałów spółki ma decydujący wpływ na walne zgromadzenie, które zatwierdza dywidendę. Państwo może sięgnąć po tę kasę, zamiast nakładać nowy podatek. Manewr nie obniży automatycznie cen na stacjach, ale pozwoli rządowi zainkasować część nadzwyczajnych zysków bez karania pozostałych akcjonariuszy. Tym, co warto przypomnieć, są m.in. fundusze pracowniczych planów kapitałowych i emerytalne, w których pieniądze lokują miliony Polaków. W skali roku, po opodatkowaniu, będzie to jakieś 8–9 mld dodatkowego zysku. Co prawda CPN już kosztował państwo 5,5 mld zł, więc ewentualny transfer świeżej kasy na kontynuację programu osłonowego dupy nie urywa, ale zawsze to coś.

Czy rząd zdecyduje się na taki fikoł? Na tę chwilę trudno powiedzieć. Ustawowy klincz zwiastuje jedno: kierowcy-wyborcy nieprędko wrócą do lania benzyny i diesla w cenie 6 zł za litr.

IDALIA DUBICKA

Lewą marsz!

Obywatele, ludzie, Polacy – to język lewicy?

niepodległości czeka patron w warsztacie samochodowym; na patriotkę zaś szefowa w zakładzie „filozofii fryzur" (taki szyld widziałem w Kołobrzegu).

Obie narracje – i liberalna, i narodowo-katolicka – przemilczają ten problem.

Różnice interesów ekonomicznych między kapitalistą a pracownikiem pierwsi kodują w języku wolności gospodarczej: i ty możesz być biznesmenem. Chociaż statystyki pokazują, że spotka to najwyżej dwóch, trzech kandydatów na stu. Szkoda, że nie wiedzą tego wielbiciele tiktokowego Sławomira, dla którego rynek to drogowskaz i świecki odpowiednik opatrzności.

Gorsza sprawa z oświeceniowym ideałem autonomii jednostki. Tu decyzja należy do dysponentów depozytu tysiąclecia. Muszą ich słuchać i ci, co klękają na oba kolana, i ci subtelniejsi – jak premier Tusk czy Binarny Władek, którzy przyklękają tylko na jedno. Jedni i drudzy zacierają, jak mogą, społeczno-ekonomiczne konflikty, przemawiając w języku różnic religijno-etnicznych i rasowych. Oferują przynależność do wielkiej rodziny Polek i Polaków, gdzie wszyscy mogą być patriotami, co zresztą niewiele kosztuje. Najgłośniej słychać kataryniarza bez katarynki: po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy.

Pochodzenie cienia

Świadomość klas pracowniczych nie może się przebić przez te dwie przesłony. Słabo przeświecają przez nie realia oligopolistyczno-finansowego kapitalizmu. Tymczasem lewica powinna tworzyć nad Wisłą wspólnotę życia i pracy. By być jej członkiem, trzeba przyczyniać się do powiększania wspólnych zasobów materialnych i kulturowych: własną pracą, organizacją pracy innych, powiększaniem dóbr kultury. Społeczeństwo to organizm pracy zbiorowej, a gospodarka jest podstawą jego trwania i rozwoju. Dlatego warunki pracy i płacy powinny być w centrum uwagi lewicy.

Wspólnota tworzy konieczne warunki materialne i instytucjonalne, by jednostki mogły zaspokajać swoje rozliczne potrzeby. I tu słusznie lewica kładzie nacisk na realizację kolejnych praw jednostki, łącznie z prawami kobiet, w tym reprodukcyjnymi. Ale to chwalebna tradycja liberalizmu. Prospołeczni liberałowie jak Isaiah Berlin czy Andrzej Walicki spotykają się ze zwolennikami demokratycznego socjalizmu w połowie drogi. Mianowicie kiedy do praw politycznych i wolnościowych dodają uprawnienia socjalne. Członkiem polskiej wspólnoty życia i pracy zatem może być rozwożący pizzę Nepalczyk czy nasz sąsiad z Bliskiego Wschodu, który oferuje najlepszy kebab na ulicy.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Taka wspólnota kontynuuje dziedzictwo materialne i kulturowe poprzednich pokoleń – „siedzisz dzisiaj w cieniu, ponieważ ktoś dawno temu zasadził drzewo", jak mawia rzutki inwestor Warren Buffet. Obecne pokolenia zespala zaś repartycyjny system zabezpieczenia emerytalnego, korzystanie z publicznych usług zdrowotnych, edukacyjnych, transportowych, oczywiście finansowanych z progresywnych podatków. Musi je uiszczać każdy, kto korzysta z dorobku minionych i obecnych generacji: osiągnięć nauki, systemu kredytowego asekurowanego przez państwo czy z nieopłaconej pracy reprodukcyjnej kobiet. Przedsiębiorca frunie na cudzych skrzydłach.

Instrumentem wspólnoty jest państwo, które reprezentuje racjonalność ogólnospołeczną. Dlatego duże znaczenie ma jego demokratyczny charakter – ale też efektywność. W Polsce brzmi to abstrakcyjnie, bo od czasów anarchii szlacheckiej naszą udręką jest brak etosu biurokracji. Takie wspólnoty jednak istnieją. Modelową stworzyli podzieleni etnicznie, językowo, religijnie Szwajcarzy. Bliscy tego modelu byli Skandynawowie. Natomiast wielbieni przez polską prawicę Amerykanie tworzą w nowych realiach westernową rzeczywistość: każdy ma broń, coraz więcej ludzi bez stabilnej pracy, obrońcy prawa sami osądzają i likwidują zakłócających ład i porządek, głos decydujący mają kalifornijscy doliniarze – już nie posiadacze stad bydła, tylko pakietów akcji, a także zarządcy banków i funduszy inwestycyjnych.

Co robić?

Problemem lewicy jest to, że uległa przemocy symbolicznej neoliberalno-konserwatywnego obozu pogromców „komunizmu".

Postpeerelowska lewica wstydzi się Polski Ludowej, boi się słów „kapitalizm" i „wyzysk", uczy się savoir-vivre'u w debacie publicznej od beneficjentów systemu, czeka na recenzje swoich inicjatyw w „Gazecie Wyborczej" czy Tefałenie.

Tymczasem tylko głoszenie z otwartą przyłbicą własnej diagnozy współczesnego kapitalizmu i wyprowadzenie wniosków praktycznych z tej diagnozy może zbudować narrację przekonującą więcej niż margines wyborców. Krytyka półgębkiem prowadzi do tego, że lewica może utracić bezpieczny margines politycznej egzystencji.

Znikł na przykład istniejący przez dwa wieki ruchu robotniczego postulat skracania czasu pracy. Nikt nie próbuje nawet walczyć o odczarowanie liberalnego populizmu w kwestii podatków dochodowych i majątkowych. Lewica powinna objaśniać klasom pracowniczym wpływ VAT-u i akcyzy na poziom życia ludzi utrzymujących się z pracy. W Polsce wpływy z PIT przynoszą zaledwie 5,3 proc. budżetu – przy średniej OECD 8,3 proc. CIT to tylko 2 proc. PKB, przy średniej OECD ponad 4 proc. Trzeba także mówić o absurdach związanych z podatkiem od dochodów „samozatrudnionych" menedżerów (19 proc.), czy lekarzy-milionerów (14,5 proc.).

Obiektem umizgów większości partii politycznych stali się pracujący na podrzędnych stanowiskach w sektorze budżetowym. Klasy pracownicze budżetówki powinny zaś być żywotnie zainteresowane przebudową systemu podatkowego i sektora usług publicznych – w tym systemu ochrony zdrowia, edukacji i transportu publicznego. Przeciwnikiem klasowym są zagraniczni i polscy globalizatorzy oraz obsługujące ich interesy klasy specjalistów tworzące kompradorską elitę finansową. To ich reprezentuje obecna elita władzy.

Ale jak opracować skuteczną strategię bez własnego zaplecza analityczno-eksperckiego, bez wpływowych mediów – by chociaż osłabiać neoliberalną hegemonię? By docierać z nowymi postulatami, lewicowe partie powinny przewodzić różnym formacjom progresywnym: związkom zawodowym, postępowym stowarzyszeniom, ruchom kobiecym, lokalnym animatorom ochrony środowiska, ludziom kultury, środowisku nauczycielskiemu i pozostałych pracowników budżetówki. Powinny też stopniowo przekształcać debatę publiczną i sferę kulturowo-symboliczną, prowadząc polemiki zarówno z liberałami, jak i narodową prawicą.

Na poziomie globalnym pierwszym zadaniem jest przekonanie klas pracowniczych – i ogółu społeczeństwa – że wyczynowy kapitalizm oparty na wzroście gospodarczym zbliża się do bariery ekologicznej. Wymaga przebudowy, postawienia biznesowi twardych warunków: recykling, ochrona miejsc pracy, rezygnacja z rajów podatkowych, ograniczanie wydatków zbrojeniowych, inny podział nadwyżki… Nie dobrobyt dla wybranych, lecz przynajmniej dostatek dla wszystkich.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

eprasa.pl 610393d1aa

Kapitalizm hoduje potwora



Rys. HENRYK CEBULA

A lewica na to: niemożliwe…

Ruch Solidarności był przekonany, że walczy o demokrację – wywalczył kapitalizm. Kapitalizm nie musi zabijać dziś demokracji, wyprowadzając na ulicę czołgi, pałki i mundury; skutecznie zabija ją neoliberalizm. A dokładniej: kapitalizm finansowy, który podporządkował sobie państwa, społeczeństwa, a w końcu również nasze wyobrażenia o tym, co jest możliwe.

Kapitalistyczny model oparty na zglobalizowanej gospodarce finansowej został zbudowany i wsparty ideologią liberalizmu. Liberalizm płynie głównym nurtem europejskiej tożsamości. Gospodarka i jej narzędzie – pieniądz – przestała być jedną z dziedzin życia. Stała się regulatorem stosunków społecznych, miarą ludzkiej wartości i niewidzialnym rządem, którego nikt nie wybiera.

Większość ludzi widzi, że ten porządek wyniszcza planetę, jest niesprawiedliwy, opresyjny i zwyczajnie nieetyczny. Nie powinno więc dziwić, że rodzi niezadowolenie, gniew i bunt.

Bunt skręca w prawo

Te emocje podchwytują politycy szukający drogi do władzy. Używają prostych populistycznych haseł, a internet rozprowadza je szybciej niż wirus grypę w szkolnej świetlicy. Przeciw globalizacji rośnie antyglobalizm, który przybiera postać lokalnego nacjonalizmu. Odrzucenie nowych porządków ideologii liberalnej zamienia się w odruch obronny – konserwatyzm.

Na gruncie nacjonalizmu i konserwatyzmu kiełkują i rosną rozmaite wykwity faszyzmu i parafaszyzmu. Rośnie przyzwolenie na autorytarne państwo, rządy silnej ręki i kulturę demokracji pozornej, ograniczonej do rytuału wrzucania kartki do urny.

Przykłady tego upadku? To już nie tylko Rosja, Korea Północna, Wenezuela czy Nikaragua. To także, a może przede wszystkim, Stany Zjednoczone. Oraz Turcja, Słowacja, Włochy, Chorwacja, Indie, Gruzja czy Salwador. Państwa różne, ale łączy je podobny proces: cofanie demokracji, osłabianie praw obywatelskich, kult przywódcy i coraz większa pogarda dla społecznej kontroli nad władzą.

Według najnowszych danych Instytutu V-Dem (Varieties of Democracy) z Uniwersytetu w Göteborgu oraz raportu Freedom House z 2026 r. globalny poziom demokracji cofnął się do roku 1978. Nacjonalistyczne i konserwatywne siły polityczne zdobywają coraz poważniejsze poparcie niemal w całej Europie.

Kto wkurzył ludzi?

Społeczeństwom potrzebna jest wizja państwa oparta na rozwiązaniach, które usuwają przyczyny kryzysu demokracji, a nie jedynie pilnują jego skutków policyjną pałką. Tego właśnie dziś brakuje.

Czy opór przeciw neoliberalnej gospodarce i jej społecznym konsekwencjom musi przyjmować formę prawicowo-konserwatywną, nacjonalistyczną i autorytarną? Czy świat nieuchronnie ma cofać się ku narodowej atomizacji i konfliktom, które rozdarły Europę w czasie I i II wojny światowej?

Jean Ziegler w książce „Kapitalizm tłumaczony mojej wnuczce (z nadzieją, że dożyje jego końca)” odpowiada bez ogródek:

„Kapitalizm nie może zostać zreformowany. Trzeba go zniszczyć. Całkowicie, radykalnie tak, aby mógł powstać nowy światowy system społeczny i ekonomiczny”.

Grabież w garniturze

Socjolog prof. Jacek Kochanowski, analizując dorobek zmarłego w czerwcu 2026 r. Zieglera, wskazuje źródło tego radykalizmu. Kapitalizm potrafi mobilizować ogromne środki, rozwijać wiedzę i mnożyć bogactwo. Tyle że owoce zbiorowej pracy nie służą zaspokojeniu potrzeb wszystkich ludzi. Służą koncentracji luksusu, bogactwa i władzy w rękach mniejszości kontrolującej kapitał: globalnej oligarchii ekonomicznej.

Ziegler oskarża kapitalizm o to, że wąska grupa właścicieli przywłaszcza sobie bogactwo wytworzone społecznie. Powstaje ono dzięki pracy milionów ludzi oraz wiedzy zbieranej przez całe pokolenia. Mimo to pozostaje własnością nielicznych, którzy rozporządzają wspólnym dorobkiem wedle własnego, a nie powszechnego interesu.

Interes właściciela staje ponad interesem zbiorowym. Ochrona jego praw zyskuje pierwszeństwo przed prawem innych do życia, żywności, zdrowia i bezpieczeństwa. To, co z perspektywy elementarnej moralności jest grabieżą, w języku rynku staje się sukcesem, wzrostem i dobrym wynikiem finansowym. Chciwość nie jest tu wadą charakteru. Jest zasadą działania systemu.

Kapitalistyczne gospodarowanie staje się więc formą władzy politycznej, choć nie pochodzi z demokratycznego wyboru i nie podlega społecznej kontroli. Demokracja upada jako konsekwencja neoliberalnego kapitalizmu.

Zabrakło lewicowej odpowiedzi

Dlaczego reakcja na neoliberalizm ma dziś przede wszystkim prawicowe oblicze? Bo w politycznej przestrzeni zabrakło innej wiarygodnej oferty. Demokracja Zachodu, spleciona z globalizującym się kapitalizmem, nie doczekała się dostatecznie silnej alternatywy ze strony egalitarnej, prospołecznej socjaldemokracji. Co gorsza, społeczeństwa Europy poczuły się oszukane przez flirtującą z kapitalizmem „socjaldemokrację trzeciej drogi” Schrödera, Blaira i Millera.

Dla większości ludzi sama świadomość, że kapitalizm nie jest jedynym możliwym porządkiem, została skutecznie wymazana. Neoliberalna tresura ideologiczna okazała się nadzwyczaj skuteczna. Do dziś nie napotkała równie silnej konkurencji.

Trudno więc o tani optymizm. Ale warto jednak zachować nadzieję, którą Ziegler wyraził, tłumacząc kapitalizm swojej wnuczce: że dożyjemy jego końca. Bowiem nadzieje i utopie potrafią zmieniać rzeczywistość. Zwłaszcza wtedy, gdy „realizm” okazuje się jedynie elegancką nazwą dla grabieży.

ANNA GRODZKA



Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

To jest Krzysztof Ciecióra. Krzysztof Ciecióra jest posłem. Posłem wybranym z listy Prawa i Sprawiedliwości. Ciecióra nie jest jednak tępym prawicowym aparatczykiem, takim, co się słucha prezesa, leży krzyżem w kościele, mruczy modły do Matki Boskiej Częstochowskiej i podśpiewuje „Barkę”. Bywa Ciecióra istotą społeczną, kulturalną, postępową, lubiącą włączyć sobie telewizor, by obejrzeć „Żegnaj, laleczko” albo „Barbie”. Albo… Oddajmy mu głos.

„Obejrzałem trochę tej nowej »Lalki« na Netfliksie i chyba już wystarczy” – pisze poseł Krzysztof Ciecióra na platformie X. „Powiem tak: kiedy chcę zjeść kiełbasę, to oczekuję kiełbasy ze świni, a nie roślinnego wyrobu z korzonków i soi, który ktoś dla marketingu nazwał kiełbasą”.

Aaaa, Cieciórze nie chodzi zatem o „Lalkę”, „Laleczkę” i „Barbie”, chodzi mu o kiełbasę. Kiełbasa jest pokazywana na kanale 238, Ciecióra może sobie kliknąć pilotem, przełączyć, żeby dniami i nocami wpatrywać się w kiełbasy. Polskie i zagraniczne. Kabanosy, wursty, sasydże i czoriza. Salami z odwodnionej świni. Krakowską, Podwawelską i Żywiecką. Białą i bardziej krwistą. Metkę i kindziuk. Parówki. Kiełbasy suche, dojrzewające, pieczone i parzone.

Już Cieciórze leci ślinka, lecz Ciecióra zaciska zęby i pisze: „Kiedy włączam serial pod tytułem »Lalka«, z Wokulskim, Łęcką i Rzeckim, to oczekuję czegoś, co ma choć trochę wspólnego z oryginalną »Lalką«. A dostałem zwulgaryzowaną podróbkę, która podpięła się pod znany tytuł i nazwiska bohaterów”.

Czyli jednak nie dokumentalna kiełbasa, tylko fabularny serial. Chociaż nie…

Ciecióra: „Gdyby ten serial ktoś nazwał, nie wiem, »Szczotka«, wszystko byłoby OK. Z nazwą »Lalka« nie można traktować go poważnie”.

Jeśli szczotka, to na kanale 239. Tam Ciecióra może przez całą dobę gapić się na szczotki. Do zamiatania, mycia i czyszczenia. Do zębów, rąk, butów i ubrań. Do butelek, tub i rur. Z drutu i włosia, a jeżeli z włosia, to z naturalnego lub sztucznego.

Bo, proszę Ciecióry, skoro szczotki są różne i kiełbasy są różne, to i „Lalki” mogą być różne. Takie od Bolesława Prusa i od Wojciecha Jerzego Hasa, od Ryszarda Bera, Macieja Kawalskiego i Pawła Maślony.

Tylko poseł Ciecióra jest jeden. Jedyny i niepowtarzalny. W osłonce z jelita i z drewnianą rączką.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

Unia Europejska według prawicy

Papież miał rację

W prawicowej telewizji goście pani Magdaleny Ogórek zaczęli się rozwodzić nad tym, jak strasznie manipulowano, żeby przekonać Polaków do poparcia wejścia do Unii Europejskiej w referendum. Wynik referendum wyniósł 77,45 proc. „za”. Kiedy usiłowałem przypomnieć, że papież Jan Paweł II wzywał do głosowania za akcesją, uczestnicy programu robili wszystko, żeby moje słowa zagłuszyć. „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej” – to najsłynniejsze sformułowanie papieża wypowiedziane 19 maja 2003 r. w Rzymie do kilkutysięcznej grupy Polaków, w którym połączył historyczną tradycję Rzeczypospolitej z współczesną integracją. Jan Paweł II jednoznacznie poparł integrację Polski z Unią Europejską, podkreślając w maju 2003 r. – tuż przed czerwcowym referendum akcesyjnym – że wejście w struktury unijne jest dla Polaków wyrazem dziejowej sprawiedliwości. „Polska potrzebuje Europy, a Europa potrzebuje Polski” – papież wielokrotnie powtarzał tę maksymę, dodając, że Kościół w Europie potrzebuje świadectwa wiary Polaków.

Poparcie dla naszej przynależności do Unii Europejskiej od czasu referendum akcesyjnego jeszcze wzrosło, wynosi 82 proc. i jest jednym z najwyższych w Europie.

Jednocześnie prawica zdecydowanie zmienia swoją narrację w sprawie zagrożenia ze strony Rosji. Uczestnicy programu zaczęli bagatelizować zagrożenie wojną ze strony Rosji, co nasze monstrualne wydatki zbrojeniowe czyni zbędnymi. To szokujący zwrot narracji w ustach ludzi, którzy do niedawna straszyli Rosją i cisnęli na zwiększanie wydatków na obronność. Dlaczego? Bo teraz źródłem poparcia obu Konfederacji i częściowo PiS-u jest szczucie na Ukrainę i obawa – częściowo już się spełniająca – że Tusk, nakręcając histerię wojenną, wykorzystuje efekt flagi. Zwykle społeczeństwo, które czuje się zagrożone, gromadzi się wokół rządzących. Dokładnie tak samo zachowywał się rząd Zjednoczonej Prawicy, więc wiedzą o czym mówią.

Prawica wiwatuje na część AfD, Alternatywy dla Niemiec, która wygrała wybory w dwóch niewielkich landach choć nie wystarczyło to do objęcia władzy. Jednocześnie totalnie ignoruje fakt, że radykalna lewica wygrała w stolicy Niemiec, Berlinie. Trump tak się ucieszył z sukcesów skrajnej antyunijnej prawicy w Niemczech, że ogłosił, że Niemcy „się budzą”. Ostatni raz, gdy Niemcy się „obudzili”, wymordowali 6 mln Polaków, więc może lepiej, żeby jeszcze trochę pospali.

Przeciętne poparcie dla Unii w Europie to 74 proc., co stoi w sprzeczności z faktem, że skrajna prawica osiąga wysokie wyniki wyborcze. Francuski Ruch Narodowy zaczyna z kolei dystansować się od Rosji, potępiając przejmowanie aktywów zachodnich firm (m.in. Auchan). Podkreśla, że Francja nie ulegnie żadnej presji ani groźbom ze strony Rosji.

Putin i Trump kibicują skrajnej prawicy w Europie, licząc, że zdoła ona rozbić Unię Europejską.

Aby rozsądzić, kto miał rację, polski papież czy współczesna polska skrajna prawica, wystarczy spojrzeć na dane gospodarcze. Po wejściu do Unii Polski dochód narodowy się podwoił, a dynamika wzrostu jest jedną z najwyższych w Europie. Prawica twierdzi, że jest kryzys, bo agencje ratingowe obniżyły nam rating. Warto jednak przypomnieć, że przed kryzysem roku 2008 agencje ratingowe dawały wspaniałe noty bankom, które wkrótce potem upadły.

Mimo dobrych wyników gospodarki nastroje są jednak kiepskie, bo mamy największe w UE rozwarstwienie. Za mało wydajemy na budownictwo społeczne, służbę zdrowia, naukę, a za dużo na zbrojenia.

Zwolennikom polexitu warto zalecić przyjrzenie się temu, co się stało z Wielka Brytanią po brexicie: jej gospodarka zanotowała trwałe osłabienie, a szacowany spadek PKB w wyniku opuszczenia Unii Europejskiej wynosi od 4 do 8 proc. A przecież była to jedna z mocniejszych gospodarek UE. Była.

W świecie toczy się nieustająca wojna ekonomiczna. Europa konkuruje z Chinami i USA. Od lat prawica wieszczy upadek Unii Europejskiej, a jednak poziom i jakość życia w Unii są o niebo wyższe niż w innych krajach. I nawet jeżeli w interesie francuskich rolników Unia uznała ślimaka za rybę, to żyje się u nas lepiej. Taki drobiazg. Przeciętny Europejczyk może sobie pozwolić na kawę z ciastkiem w kawiarni, a przeciętny Amerykanin – nie.

PIOTR IKONOWICZ



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

NARODOWY MŁOTEK POLSKI

eprasa.pl 610393d1aa

Straszydła z paragrafami

Martwa litera prawa już nie dziwi, ale po prostu – śmieszy.

W telewizji słyszymy, że pijani kierowcy będą eliminowani z dróg. Ministrowie zapowiadają bezwzględność. Posłowie prześcigają się w pomysłach, jak jeszcze bardziej zaostrzyć przepisy. Jedni chcą konfiskować samochody, drudzy podwyższać kary, trzeci wprowadzać kolejne zakazy. A z przepisami jest jak z dekoracjami w teatrze. Z daleka wyglądają imponująco. Dopiero gdy podejdzie się bliżej, okazuje się, że za fasadą stoi kilka desek podpartych kołkiem.

Piłeś, to z Bogiem

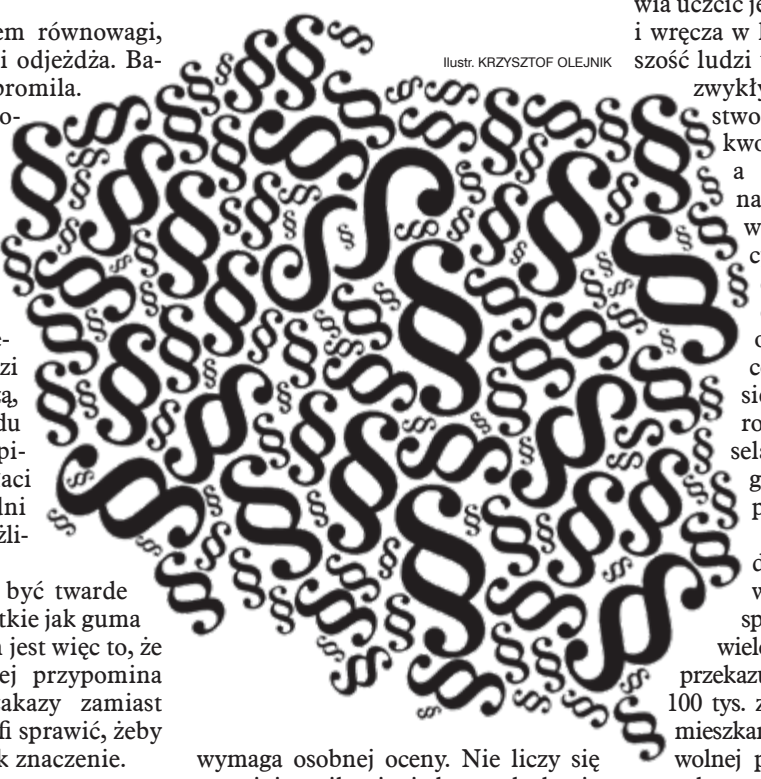
Pod Płońskiem był czerwcowy wieczór. Około pół do siódmej mieszkańców Cieszkowa Starego postawił na nogi huk. Seat wypadł z drogi i dachował. Samochód zatrzymał się na dachu, a każdy, kto zobaczył taki widok, mógł przypuszczać, że kierowca jest ciężko ranny albo czeka przy rozbitym aucie na pomoc. Ale nic z tych rzeczy. Mężczyzna wydostał się z samochodu o własnych siłach, rozejrzał się i doszedł do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie ucieczka. Pobiegł w pole i schował się w zbożu.

Na miejsce przyjechali policjanci. Samochód leżał na dachu. Kierowca sam wyszedł z pola. Zakrwawiony, poraniony, ale żywy. Okazało się, że

miał ponad 2,8 promila oraz dwa dożywotnie zakazy prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Po przedstawieniu zarzutów prokurator zastosował wobec niego dozór policji i nakaz powstrzymywania się od prowadzenia pojazdów.

Człowiek, który zlekceważył dwa dożywotnie zakazy, usłyszał kolejne polecenie, żeby jednak nie jeździł.

Jeszcze ciekawsza jest historia z Darłowa, tam również alkohol lał się szerokim strumieniem. Przedsiębiorca ledwo trzymał się na nogach. Zauważył go policjant będący po służbie. Funkcjonariusz obserwował, jak mężczyzna, mimo wyraźnych problemów z utrzymaniem równowagi, wsiada do Mercedesa i odjeżdża. Badanie wykazało 1,84 promila. To stan głębokiego upojenia alkoholowego. Taki, wobec którego politycy lubią mówić o zerowej tolerancji.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Sąd jednak uznał, że postępowanie można warunkowo umorzyć. Kierowca nie był wcześniej karany, prowadzi działalność gospodarczą, potrzebuje samochodu do pracy, ma dobrą opinię. Wpłaci 5 tys. zł na odpowiedni fundusz i odzyska możliwość prowadzenia auta.

Prawo, które miało być twarde jak stal, okazało się giętkie jak guma od majtek. Problemem jest więc to, że państwo coraz częściej przypomina firmę produkującą zakazy zamiast instytucję, która potrafi sprawić, żeby miały one jakiekolwiek znaczenie.

Koperta postrachu

Gdyby przyjąć, że o stopniu skomplikowania państwa świadczy liczba przepisów, które potrafi ono zastosować do zwykłej rodzinnej uroczystości, Polska bez trudu znalazłaby się w europejskiej czołówce. Ślub w oczach fiskusa przestaje być wydarzeniem rodzinnym i staje się zbiorem zdarzeń podatkowych. Państwo nie zna bowiem pojęcia „koperta weselna". Nie interesują go życzenia zapisane na kartce, bukiet kwiatów ani pierwszy taniec. Zna wyłącznie darowiznę, darczyńcę, grupę podatkową, kwotę wolną, obowiązek zgłoszenia i odpowiedni formularz.

Na tym właśnie polega cały idiotyzm. Młoda para kończy wesele przekonana, że dostała 100 czy 150 kopert od rodziny i znajomych. Fiskus uważa natomiast, że otrzymała 100 czy 150 odrębnych darowizn, z których każda wymaga osobnej oceny. Nie liczy się przecież to, ile pieniędzy znalazło się w pudełku ustawionym przy wejściu na salę, lecz kto wręczył konkretną kopertę, do której grupy podatkowej należy, ile przekazał wcześniej i czy w ciągu ostatnich pięciu lat nie obdarowywał już tej samej osoby. W praktyce oznacza to, że zwykły familijny spęd może zamienić się w zadanie z rachunkowości, którego większość obywateli nawet nie wie, że powinna się podjąć.

Przepisy przewidują trzy grupy podatkowe oraz tzw. grupę zerową obejmującą najbliższą rodzinę. Rodzice, dzieci, dziadkowie, wnuki, rodzeństwo czy małżonkowie mogą korzystać z pełnego zwolnienia z podatku, ale pod warunkiem dochowania ustawowych formalności. Jeżeli wartość darowizny przekracza obowiązujący limit, obdarowany ma sześć miesięcy na złożenie formularza SD-Z2, a przekazanie pieniędzy powinno być odpowiednio udokumentowane, najczęściej przelewem bankowym. W przeciwnym razie zwolnienie może przepaść i nawet pomoc najbliższej rodziny zaczyna podlegać zwykłym regułom podatkowym. Dalsza rodzina korzysta z niższych limitów, a osoby niespokrewnione, przyjaciele czy znajomi trafiają do trzeciej grupy podatkowej, gdzie kwota wolna wynosi zaledwie 5733 zł. Po jej przekroczeniu pojawia się obowiązek złożenia deklaracji SD-3, a urząd wylicza podatek według progresywnej skali.

Najlepiej widać to na prostym przykładzie. Wyobraźmy sobie, że najlepszy przyjaciel pana młodego postanawia uczcić jego ślub wyjątkowo hojnie i wręcza w kopercie 50 tys. zł. Większość ludzi uznałaby taki gest za niezwykły dowód przyjaźni. Państwo najpierw odejmie od tej kwoty 5733 zł kwoty wolnej, a następnie od pozostałej nadwyżki naliczy podatek według stawek obowiązujących w trzeciej grupie podatkowej. W efekcie obdarowany może zapłacić około 7,5 tys. zł podatku, co oznacza, że fiskus staje się jednym z hojniej obdarowanych uczestników wesela, choć nikt nie widział go ani na ceremonii, ani na parkiecie.

Jeszcze ciekawiej wygląda sytuacja, gdy pomoc jest większa. Załóżmy, że niespokrewniony chrzestny albo wieloletni przyjaciel rodziny przekazuje młodemu małżeństwu 100 tys. zł, chcąc pomóc w zakupie mieszkania. Po odliczeniu kwoty wolnej pozostają ponad 94 tys. zł podstawy opodatkowania, a należność wobec fiskusa przekracza 17 tys. zł.

Prawo jest jednoznaczne, tylko że nikt go nie egzekwuje. Chyba że w przypadku donosu. Pracownicy skarbówki też łażą na wesela, też dają koperty i żadnemu nawet nie zaświta, żeby robić państwu młodym kontrolę. A skoro tak, to po cholerę straszyć debilnymi przepisami ludzi? Żeby straszyć?

Kwit zamiast państwa

Najbardziej pouczający przykład tego, jak sprawnie państwo produkuje obowiązki i ich nie pilnuje, przyszedł z Pomorza, gdzie Najwyższa Izba Kontroli postanowiła sprawdzić, czy samorządy, starostwa i nadzór budowlany panują nad nielegalną zabudową terenów atrakcyjnych turystycznie. Kontrola objęła powiaty oraz sześć gmin. Ujawniono 104 przypadki podejrzenia samowoli budowlanej, zaś podczas prowadzonej z powietrza inwentaryzacji naliczono aż 1044 potencjalne samowole. Państwo wyposażyło się w prawo budowlane, plany zagospodarowania, ewidencje gruntów, urzędy gmin, starostwa, inspektoraty i rozmaite kompetencje, lecz żeby zobaczyć skalę problemu, trzeba było dopiero wznieść się w powietrze i spojrzeć na własne terytorium z góry.

Przez pięć lat kontrolowane gminy skierowały do nadzoru budowlanego 47 zgłoszeń dotyczących możliwych samowoli. Dopiero kiedy inwentaryzacja ujawniła ponad 1000 podejrzanych obiektów, tylko w 2025 r. liczba zgłoszeń wzrosła do 567, co oznacza, że wcześniej urzędnicy albo patrzyli w inną stronę, albo nie mieli zwyczaju patrzeć w ogóle.

Powiatowi inspektorzy nadzoru budowlanego przeważnie ruszali w teren dopiero wtedy, gdy ktoś doniósł im o nieprawidłowości, ponieważ systemowych kontroli z własnej inicjatywy prawie nie prowadzono. Starostwa również nie planowały regularnego sprawdzania. Jeśli już podejmowano działania, to zazwyczaj przy okazji innej sprawy, przypadkiem.

Na tym jednak pomorska komedia się nie kończy, ponieważ samorządy potrafiły jednocześnie nie zauważać samowoli budowlanych i pobierać od nich podatek od nieruchomości. Państwo nie wiedziało więc oficjalnie, że budynek istnieje, lecz wiedziało dostatecznie dużo, by wysłać właścicielowi decyzję podatkową.

Postępowania w sprawach ujawnionych samowoli prowadzono przewlekle, nakazów rozbiórki czasem nie egzekwowano, a upływ czasu działał na korzyść właścicieli, ponieważ obiekt istniejący co najmniej 20 lat może zostać objęty uproszczoną procedurą legalizacyjną i uniknąć standardowej opłaty.

Po tych wszystkich historiach człowiek zaczyna się zastanawiać, czy polskie państwo przypadkiem nie pomyliło celu z metodą. Miało przecież zapewniać bezpieczeństwo, pilnować porządku i rozsądnie regulować życie społeczne. Tymczasem coraz częściej odnosi się wrażenie, że jego podstawową działalnością stało się produkowanie papierów. Nie rozwiązywanie problemów, lecz ich opisywanie. Nie egzekwowanie prawa, lecz uchwalanie kolejnych przepisów. Nie pilnowanie, żeby coś działało, lecz upewnianie się, że istnieje odpowiedni formularz potwierdzający, iż teoretycznie powinno działać. A skoro państwo nie jest w stanie skutecznie kontrolować tego, co już nakazało kontrolować, to po co tworzy kolejne obowiązki?

TADEUSZ JASIŃSKI

Hieny spod znaku orła

Minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk powinna odpowiedzieć propozycją zwiększenia ochrony najbiedniejszych emerytów przy zachowaniu ochrony minimalnej pensji. Skoro sami komornicy dostrzegają niedolę starszych ludzi, trudno o lepszy moment.

Damski bokser... tfu, komornik

Robert Damski, komornik sądowy, martwi się, że ludziom zostaje za dużo pieniędzy. Konkretnie tym, którzy zarabiają najmniej, a mają długi. Chciałby umożliwić potrącanie im 15–20 proc. minimalnego wynagrodzenia, co w rozmowie z Interią przedstawia jako „ukłon wobec osób o najniższych dochodach". Piękny gest, chociaż jego adresatom radziłbym zachować ostrożność: kiedy komornik się kłania, warto sprawdzić, do której kieszeni, jebaniutki, właśnie sięga.

Ta nibyrozmowa została urządzona tak, żeby czytelnik nie zaprzątał sobie głowy przyczynami zadłużenia. Zaległości czynszowe sąsiadują z karami za jazdę po alkoholu, wskutek czego oburzenie na pijanego kierowcę można przenieść na kobietę, której zabrakło na mieszkanie. Oboje są przecież dłużnikami, więc po co dociekać, czy nie chcą zapłacić, czy nie mają z czego? Zanim padnie pytanie o koszty leczenia albo osoby na utrzymaniu, czytelnik już wie, że został okradziony przez biedaka, i zaczyna kibicować egzekucji.

Zresztą już tytuł wyjaśnia, że nie płacą, „bo cała pensja jest chroniona". Przyczyną zaległości okazuje się ochrona pieniędzy, które mają wystarczyć na przeżycie. Z tej opowieści znika człowiek, któremu po opłaceniu jednego rachunku nie wystarcza na drugi. Zostaje rzekomy cwaniak, który odkrył, że najwygodniej urządzić się w życiu za najniższą krajową.

Tymczasem wystarczy choroba, żeby domowy budżet poszedł w pizdu. Dochody maleją, wydatki rosną, czynsz pozostaje niewzruszony. Człowiek kupuje leki, pożycza, przesuwa płatności, aż odkrywa, że jego nieszczęście zdążyło już nabrać odsetek. Może pracować i utrzymywać chorą żonę, może sam być niepełnosprawny, potrzebować rehabilitacji i transportu. Najniższe wynagrodzenie nie zapewnia najniższych cen w aptece, a właściciel mieszkania nie obniży czynszu dlatego, że lokatorowi pogorszyło się zdrowie. Wszystkich trzeba opłacić z tej samej pensji, w której komornik dostrzegł jeszcze rezerwę.

Potrącenie jednej piątej oznacza w takim domu wskazanie następnego rachunku, który poczeka. Pieniądze zabrane na zaległy czynsz mogą nie wystarczyć na bieżący, a rezygnacja z leczenia może ograniczyć możliwość pracy. W kancelarii należność zostanie częściowo odzyskana, w mieszkaniu przybędzie następna zaległość. Poprawi się statystyka egzekucji, pogorszy położenie człowieka, który miał dzięki tej operacji wychodzić z zadłużenia.

Damski zabiera głos jako przedstawiciel zainteresowanej finansowo grupy zawodowej. Komornikom przysługuje wynagrodzenie prowizyjne zależne od uzyskanych opłat egzekucyjnych. Pokrywają z niego także koszty kancelarii, więc nie jest w całości czystym zarobkiem, ale zależność pozostaje oczywista: branża domagająca się dostępu do kolejnych pieniędzy ma w proponowanej zmianie własny interes.

Procent od zadłużonych, również chorych i niepełnosprawnych, pozostaje procentem, choćby pobierano go pod godłem i wśród westchnień nad upadkiem obyczajów. Dziennikarka mogłaby zapytać, ile środowisko komornicze na tej reformie zyska. Bez tego otrzymujemy lekcję moralności, w której tylko jedna strona musi tłumaczyć się ze swojego stosunku do pieniędzy.

Pamiętam zresztą, że do ograniczania ochrony najniższych pensji przymierzały się już posłanki Nowej Lewicy, a w uzasadnieniach pojawiały się alimenty. Tyle że przy egzekucji alimentów z wynagrodzenia kwota wolna odpowiadająca minimalnej pensji już nie obowiązuje: można potrącać do 60 proc. wynagrodzenia. Sam Damski zresztą o tym akurat uczciwie przypomina – w przeciwieństwie do idiotek z Nowej Lewicy, które nawet o tym nie wiedziały. Jak widać, łatwo wzruszyć publiczność losem dziecka, któremu ojciec nie płaci, a następnie pod osłoną tego wzruszenia dobrać się do pensji matki zalegającej z czynszem.

Szczególnie ujmująca jest troska Damskiego o emerytów, których świadczenia są słabiej chronione niż minimalne pensje. Ubolewa nad ich losem przedstawiciel zawodu, który dokonuje tych potrąceń. Skoro widzi krzywdę, niech zażąda podwyższenia kwoty wolnej od egzekucji dla emerytów, żeby wystarczało im na jedzenie i lekarstwa. On jednak proponuje połączyć ograniczenie potrąceń z emerytur z dobraniem się do najniższych wynagrodzeń. Pewnie coś wyniuchał.

Zobaczymy, ile w tej trosce jest współczucia, gdy poprawy losu jednych biedaków nie będzie można powetować potrąceniami u drugich.

Nie trzeba nawet lubić dłużników. Można uważać, że popełnili głupstwo, żyli ponad stan albo zlekceważyli cudze pieniądze. Państwo nie powinno jednak odbierać im warunków, bez których nie będą w stanie spłacić żadnego długu. Jeśli zabierze mieszkanie, zdrowie i możliwość pracy, nie odzyska należności, lecz wyprodukuje człowieka jeszcze biedniejszego, a potem nazwie go niewypłacalnym.

Zanim państwo pozwoli komorniczym hienom uszczknąć coś z najniższych pensji, niech najpierw policzy, co z nich zostaje po opłaceniu mieszkania, jedzenia i leczenia. Pieniądze, po które komornik wyciąga łapska, nie są żadną nadwyżką – są już rozpisane na czynsz, prąd, leki i jedzenie. Skoro komornik potrafi policzyć koszty utrzymania kancelarii, niech policzy także koszty utrzymania człowieka. Dopiero potem niech liczy własną prowizję.

Ha-tfu! Panie komorniku, to było gratis.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 610393d1aa

Procenty pędzone akcyzą

Ktoś kojarzy jeszcze, że rok bitwy pod Grunwaldem był przepisem na samogon?

Polska polityka alkoholowa jest nawet nierozdwojona. Ona ma co najmniej kilka osobowości, które – gdyby zamknąć je razem w gabinecie ministra finansów – po godzinie zaczęłyby wzywać na siebie policję. Pierwsza osobowość twierdzi, że alkohol jest straszną trucizną, powoduje choroby, wypadki, przemoc i kosztuje państwo dziesiątki miliardów złotych rocznie, więc trzeba ludziom utrudnić picie. Druga uważa, że skoro ludzie piją, należy wycisnąć z każdej flaszki jak najwięcej podatku. Trzecia zastanawia się, czy podwyższając akcyzę jeszcze bardziej, nie da się przypadkiem podreperować NFZ. Czwarta pozwala obywatelowi produkować w domu piwo i wino bez akcyzy, o ile ich nie sprzedaje. Piąta mówi mu, że destylować po fermentacji mocnego alkoholu w domu nie wolno. A szósta stoi obok i spokojnie patrzy, jak legalne polskie firmy sprzedają każdemu dziesiątki destylatorów, chłodnic, odstojników, alkoholomierzy, filtrów, fermentorów i podręczników zatytułowanych choćby „Tworzenie destylatów od A do Ż".

Za zdrowie ministra finansów

Wszystko to dzieje się w kraju, w którym Ministerstwo Finansów chce podwyższać akcyzę dlatego, że – jak samo argumentuje – alkohol jest zbyt łatwo dostępny. I w którym Ministerstwo Rolnictwa przypomina zarazem, że produkcja alkoholu etylowego jest działalnością regulowaną, wymagającą wpisu do odpowiedniego rejestru. Bez niego nielegalny producent alkoholu etylowego może dostać grzywnę, ograniczenie wolności albo do trzech lat więzienia, a gdy rzecz dotyczy alkoholu znacznej wartości – od sześciu miesięcy do pięciu lat. Państwo bardzo więc nie chce, żeby Kowalski miał własną gorzelnię. Nie ma za to nic przeciwko temu, żeby Kowalski miał wyposażenie, z którego gorzelnię da się zrobić.

Najbardziej oddaną państwu częścią każdej butelki wódki są podatki. Akcyza od alkoholu etylowego w 2026 r. wynosi 8391 zł od hektolitra stuprocentowego alkoholu zawartego w gotowym wyrobie. Tę stawkę zapisano jeszcze w mapie akcyzowej uchwalonej kilka lat temu.

Co to oznacza dla normalnej półlitrowej butelki 40-procentowej wódki? W pół litrze znajduje się 0,2 litra czystego alkoholu. Sama akcyza od tej ilości wynosi obecnie około 16,78 zł. Do tego dochodzi VAT, którego część w cenie zależy rzecz jasna od sklepowej ceny butelki. Jeśli flaszka kosztuje 30 zł, zawarty w cenie VAT to około 5,61 zł. Akcyza i VAT dają więc razem około 22,39 zł. Z 30-złotowej flaszki grubo ponad dwie trzecie ceny stanowią zatem te dwa podatki.



Rys. TOMASZ WIATER

Na dodatek państwo uznało, że pięcioprocentowa podwyżka przewidziana na 2026 r. to za mało. Jesienią 2025 r. rząd zaproponował, żeby zamiast 5 proc. dowalić 15, a w 2027 r. zamiast kolejnych 5 proc. – 10. Parlament pomysł przyjął, ale 18 grudnia 2025 r. prezydent Karol Nawrocki nowelizację zawetował. W sierpniu minister Domański poinformował, że projekt wyższej akcyzy pozostaje aktualny, tyle że tym razem dodatkowe pieniądze miałyby w całości zasilać NFZ. Czyli podatek, którego nie udało się przeprowadzić jako mającego zasypywać dziurę, ma wrócić jako podatek dla zdrowia.

Tylko że polskie państwo już raz sprawdziło, co się dzieje, gdy podatkową śrubę odkręci się w drugą stronę. W 2002 r., gdy premierem był Leszek Miller, rząd obniżył akcyzę na alkohol aż o 30 proc. Idea była fiskalnie przebiegła. Wysoki podatek miał napędzać przemyt, pokątny handel i produkcję poza legalnym rynkiem, więc obniżka miała sprowadzić konsumentów z powrotem do sklepów, zwiększyć legalną sprzedaż i – mimo niższej stawki – poprawić dochody budżetu. I rzeczywiście budżet dostał więcej.

W ciągu roku po obniżce spożycie czystego alkoholu zwiększyło się o 1 litr na osobę, a po trzech latach – już o 2 litry. Naukowcy przeliczyli te 2 litry na bardziej swojską jednostkę miary i wyszło mu 80 piw albo 10 półlitrowych butelek wódki. Jednocześnie za przeciętną pensję można było kupić o ponad 150 butelek piwa i 45 butelek wódki więcej. Nikt nie wpadł na to, że pewnie konsumpcja przesunęła się od źródeł nielegalnych do tego, co zaczęto pozyskiwać ze sklepów.

Od 2021 r. oficjalna konsumpcja alkoholu w Polsce maleje. Spadek wynika ponoć przede wszystkim z coraz mniejszego spożycia piwa. Ale to samo państwo przyznaje przecież, że piwo, wino i inne napoje fermentowane wytworzone przez osobę fizyczną domowym sposobem, na własny użytek i nieprzeznaczone do sprzedaży, są zwolnione z akcyzy. Kto zrobi kilkadziesiąt litrów własnego wina z jabłek, winogron czy porzeczek i wypije je z rodziną, nie tworzy ani jednej butelki detalicznej sprzedaży wina. A jednak alkohol powstał i został wypity.

Z mocnym alkoholem jest inaczej. Napojów spirytusowych wytwarzanych domowym sposobem na własny użytek nie wolno produkować bezpośrednio w wyniku destylacji po fermentacji alkoholowej. Fermentuj sobie piwo, fermentuj wino, ale kiedy zechcesz z efektów fermentacji zrobić mocniejszy destylat – stop. Tu zaczyna się państwowy szlaban.

Bimbrownia z dostawą

Ale wystarczy wejść w internecie do jednego z największych polskich sklepów oferujących wyposażenie do domowego przetwórstwa, aby w kategorii „Gorzelnictwo", znaleźć 63 pozycje związane z destylatorami i to nie jest jeden podejrzany aparat wystawiony przez anonimowego człowieka na bazarze internetowym.

Najtańsze urządzenia nie kosztują fortuny. Destylator przystosowany do robota kuchennego wyceniono na 373 zł, inny model był przeceniony z 403 do 363 zł, a „profesjonalny destylator 60L" z kolumną ze stali nierdzewnej można kupić już za 1399 zł.

Ale dopiero otoczenie tych urządzeń pokazuje groteskę w pełnej krasie. Przy 18-litrowym destylatorze sklep proponuje „papugę destylacyjną" za 139,99 zł, precyzyjny alkoholomierz za 41,99 zł, książkę „Tworzenie destylatów od A do Ż" za 65 zł oraz drożdże opisane jako „gorzelnicze" za 8,99 zł.

Sam producent zachowuje się przy tym prawnie wzorowo. Na stronie urządzenia zamieszcza ostrzeżenie, że zasady produkcji alkoholu regulują odpowiednie ustawy i że firma nie odpowiada za używanie produktów niezgodnie z prawem.

Z piwem nie trzeba nawet omijać prawa. Państwo samo pozwala robić je w domu na własny użytek. I rynek skrzętnie z tej możliwości korzysta.

Sklep internetowy rozpoczyna od słów: „Piwo domowe w domu, nic trudnego". Dalej zapewnia, że znajdują się tam „podstawowe zestawy startowe" dla początkujących w browarnictwie, klient może też kupować elementy pojedynczo i złożyć własny komplet. Zakończenie reklamy brzmi równie zachęcająco: „Twoje pierwsze piwo domowe jest w zasięgu ręki".

I rzeczywiście jest. Miniaturowy domowy browar kosztuje 119 zł. Sklep informuje przy najtańszych zestawach, że od własnego piwa dzielą kupującego tylko „4 kroki". Przy bardziej zaawansowanych opisuje wyposażenie do fermentacji burzliwej, cichej oraz rozlewania gotowego napoju do butelek. Kategoria „Piwo domowe" ciągnie się przez 44 strony katalogu.

Winiarz amator ma jeszcze łatwiej. Castorama, czyli nie żaden podziemny portal dla bimbrowników, lecz jedna z największych sieci handlowych w kraju, ma dział nazwany wprost „Winiarstwo, gorzelnictwo i piwowarstwo". Kompletny zestaw winiarski z 15-litrowym szklanym balonem kosztował 248 zł. Sprzedawca informuje, że klient dostaje komplet pozwalający rozpocząć fermentację, a zestaw umożliwia przygotowywanie win białych, różowych i czerwonych.

Co za dużo, to i świnia...

Wracają wspomnienia z PRL. Przez dekady domowe fermentowanie nie było w Polsce zajęciem dla technologów żywności. Wiedza krążyła między rodzinami, sąsiadami i kolegami z pracy. Starsze pokolenia do dziś pamiętają ludowe receptury zapisywane jako ciągi cyfr, proporcje składników, sposoby robienia zacieru i konstrukcje aparatury powstającej z tego, co udało się zdobyć. Kiedy legalny alkohol był drogi albo trudno dostępny, człowiek nie przestawał pić. Ale w PRL trzeba było znać faceta, który znał faceta od rurki, chłodnicy i garnka. W 2026 r. wpisuje się nazwę urządzenia do wyszukiwarki, wybiera płatność i kurier przywozi paczkę. Sprzedawca zapewnia instrukcję, producent części zamienne, internet wiedzę, a państwo – stosowny paragraf informujący, czego z tym wszystkim robić nie wolno.

Poza tym kalkulatory fiskalne mają jedną drobną wadę. Zakładają, że obywatel jest idiotą. Tymczasem każdy podatek ma granicę skuteczności. Jeśli jest niewielki, państwo zabiera niewiele. Jeśli rośnie, wpływy mogą rosnąć razem z nim. Ale

nie da się podnosić daniny w nieskończoność i zakładać, że konsumenci będą potulnie płacili każdą nową cenę. Dlatego historia z 2002 r. powinna być dla fiskusa znacznie bardziej pouczająca, niż wydaje się zwolennikom prostego podnoszenia akcyzy.

Nie ma dziś dowodu, że Polska już zalewana jest domowym alkoholem ani że spadek oficjalnej sprzedaży wynika przede wszystkim z ucieczki do produkcji chałupniczej. Ale państwo powinno przynajmniej zauważyć możliwość, którą samo stworzyło.

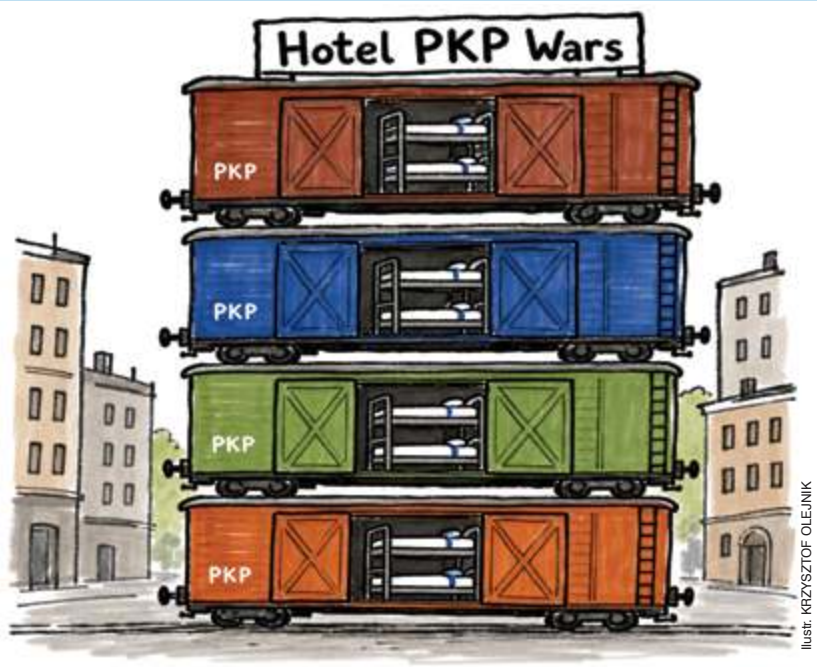
TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

Luksus jest pojęciem nader względnym. 12 proc. z nas uważa, iż zarabia na tyle dobrze, żeby żyć komfortowo i bez problemu pokrywać większe wydatki. Pozostałym luksus kojarzyć się może z tym, że wypłata w ogóle wpłynęła. Żeby jednak nie było, że nad Wisłą zapanowała finansowa katastrofa, 53 proc. badanych twierdzi, że pieniędzy wystarcza im na codzienne potrzeby. Można zatem kupić jedzenie, zatankować samochód, opłacić telefon i zrobić inne rzeczy składające się na normalne życie, ale gdy zepsuje się lodówka albo trzeba kupić komputer dzieciakowi, wydatek trzeba „wpisać w domowy budżet". Kawałek niżej finansowej drabiny robi się mniej zabawnie. 25 proc. ankietowanych przyznaje, że dochody wystarczają głównie na podstawowe potrzeby, a kolejne 6 proc. ma problemy nawet z pokrywaniem bieżących kosztów. Razem daje to 31 proc., czyli prawie co trzeciego badanego, który funkcjonuje na poziomie zaspokajania podstawowych potrzeb albo poniżej niego. Jeszcze 5 proc. nie potrafi jednoznacznie określić swojej sytuacji finansowej. Wszak dopóki człowiek nie sprawdzi salda, może przez chwilę uważać się za bogatego. Z czego rezygnujemy, kiedy pieniędzy zaczyna brakować? Na pierwszy ogień idzie jedzenie przygotowane przez kogoś innego. 13 proc. badanych ogranicza restauracje, jedzenie na mieście i zamawianie posiłków. 11 proc. tnie wakacje, wyjazdy i podróże. Po 6 proc. badanych ogranicza ubrania i buty, remonty i wyposażenie mieszkania oraz elektronikę i większe zakupy do domu. Gorzej, gdy oszczędzanie dochodzi do talerza, a dochodzi, bo 5 proc. kupuje tańszą żywność albo ogranicza część zakupów spożywczych. Po 2 proc. respondentów tnie wydatki na zdrowie, transport oraz potrzeby dzieci. Jest jednak 9 proc. szczęśliwców deklarujących, że nie ograniczają żadnej kategorii wydatków. Według danych BIK w lipcu liczba udzielonych kredytów ratalnych była o ponad 38 proc. większa niż rok wcześniej. W pierwszym półroczu wartość transakcji „kup teraz, zapłać później", zwiększyła się o blisko 37 proc. Bo luksus w naszym kraju to możliwość nieprzejmowania się tym, czy wystarczy.

Jak wiadomo, z polską gospodarką jest świetnie, a jak ktoś uważa inaczej, to najwyraźniej nie ogląda rządowych konferencji prasowych. Ale przedsiębiorstwa nie zawsze chcą się dostosować do dobrego samopoczucia polityków i zamiast zatrudniać oraz inwestować, zaczynają wyrzucać ludzi z roboty. Tym razem przytrafiło się to Cersanitowi, jednemu z największych producentów ceramiki sanitarnej i wyposażenia łazienek w Polsce. Firma należy do Michała Sołowowa, jednego z najbogatszych Polaków, zatrudnia około 5,5 tys. osób i zamierza przeprowadzić zwolnienia grupowe obejmujące 487 pracowników. To prawie 9 proc. obecnego zatrudnienia. Redukcja obejmie pięć fabryk. Ludzie mają tracić pracę w Krasnymstawie, Starachowicach, Opocznie, Radomiu i Wałbrzychu, a cały proces potrwa do listopada. Najgorzej ma być w Krasnymstawie, gdzie Cersanit jest jednym z największych pracodawców, a miejscowy rynek pracy już dziś ma jedną z najwyższych stóp bezrobocia na Lubelszczyźnie. Zwolniony pracownik niekoniecznie więc w poniedziałek dostanie wypowiedzenie, a we wtorek pójdzie do sąsiedniej fabryki. Najciekawsze są powody zwolnień, bo niezbyt pasują do opowieści o coraz bardziej konkurencyjnej gospodarce. Firma wskazuje przede wszystkim na wysokie koszty energii i części surowców. Do tego dochodzą rosnące koszty produkcji, słabszy od oczekiwanego popyt i mniejsza liczba zamówień. Cersanit odczuwa również konkurencję producentów z Chin oraz rynkowe skutki wojny w Ukrainie. Ale dodatkowych programów wsparcia dla osób objętych redukcją Cersanit nie przewidział. Nie jest to też pierwszy ostatnio biznes Sołowowa, o którego problemach zrobiło się głośno. North Food, spółka prowadząca sieć restauracji North Fish, złożyła w 2026 r. wniosek o upadłość. Sąd go odrzucił, co nie zmienia faktu, że firmy raczej nie składają takich wniosków dla urozmaicenia pracy księgowości.

WARS kojarzony z wagonem restauracyjnym postanowił, że karmienie i pojenie pasażerów to za mało. W czerwcu firma utworzyła więc spółkę WARS Hotel i Catering, która ma rozwijać usługi konferencyjne i cateringowe. To ponoć pasuje do strategii Grupy PKP do 2030 r., w której postanowiono różnicować działalność. W przypadku WARS-u jachtu nie będzie. Będzie hotel, a właściwie centrum konferencyjno-noclegowe. Obiekt powstaje przy ul. Puławskiej w Warszawie. Budynek już jest i należy do Transportowego Dozoru Technicznego, który wcześniej świadczył w nim podobne usługi. Teraz zarządzaniem zajmie się specjalnie do tego powołana spółka. Hotelowym molochem Puławska jednak nie zostanie. W środku jest 50 pokoi. Ma też w przyszłości powstać restauracja, co akurat dziwić nie powinno. Grupa PKP nieruchomości ma niemało. Jeśli WARS nauczy się prowadzić centrum konferencyjno-hotelowe, PKP zaś będzie miało nieruchomość nadającą się do takiej działalności, to firma, która od dziesięcioleci sprzedaje pasażerowi jedzenie podczas podróży, może teraz sprzedawać mu również łóżko po jej zakończeniu. A potem rano śniadanie.



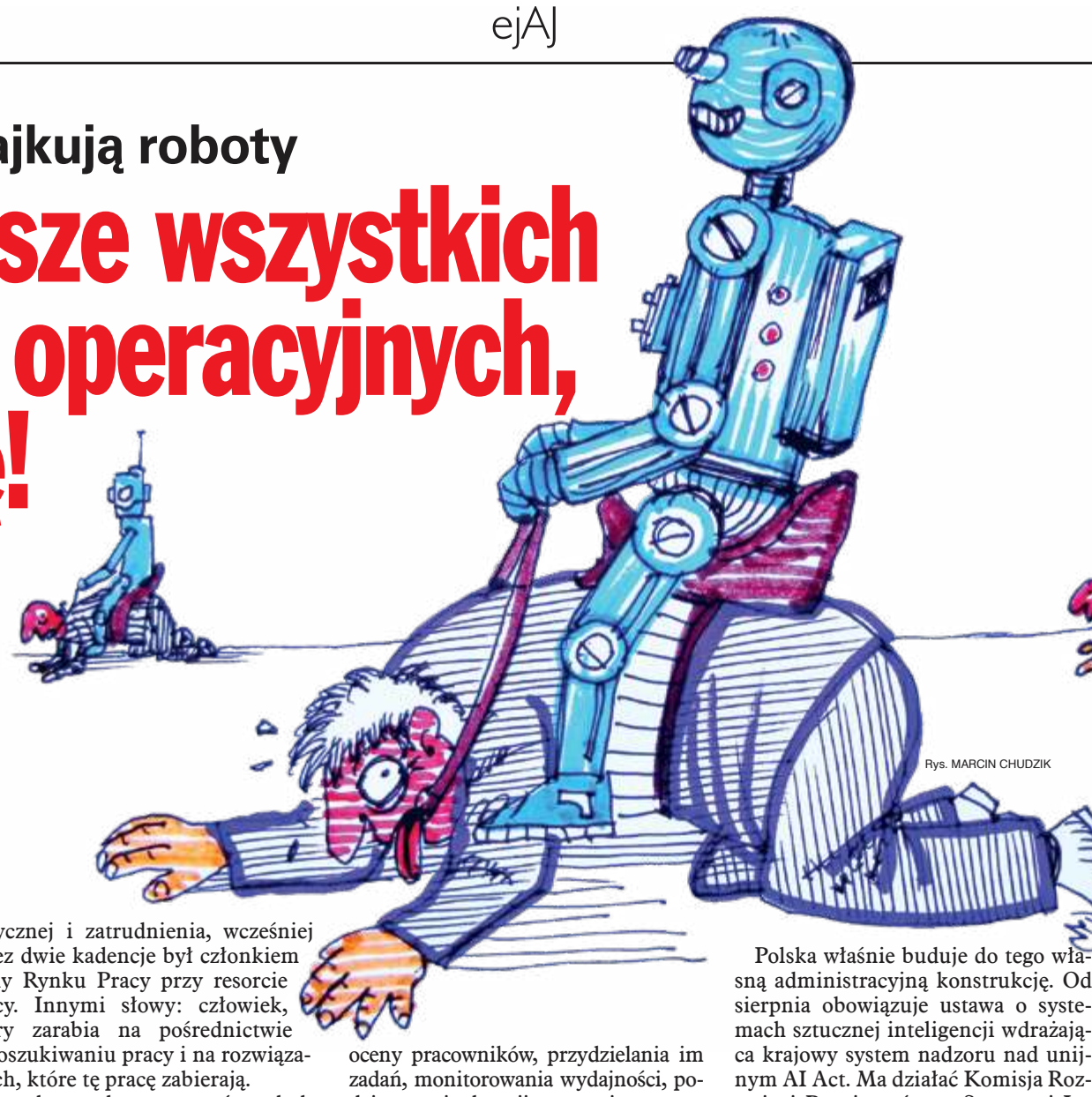
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

TTJ

eprasa.pl 610393d1aa

W Warszawie strajkują roboty

Proletariusze wszystkich systemów operacyjnych, łączcie się!



Rys. MARCIN CHUDZIK

Bunt maszyn zaczął się w Warszawie 7 września 2026 r. Około 30 maszyn zgromadziło się przed Ministerstwem Cyfryzacji. Niektóre poruszały się na dwóch nogach, inne na czterech. Maszyny niosły flagi, ustawiały się w szyku i wysuwały żądania wobec polskiego rządu. Nie odnotowano prób przejęcia arsenału nuklearnego. Skynet postanowił najpierw wyczerpać drogę administracyjną.

Na miejscu nie pojawił się John Connor. Naprzeciw maszyn stanął minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski z Lewicy. To dobrze. Jeżeli kiedyś naprawdę wybuchnie wojna z maszynami, będziemy mogli powiedzieć, że Polska od początku stawiała na dialog.

Roboty maszerowały, wymachiwały flagami i przez głośniki skandowały hasła. Jeden z humanoidów odpowiadał nawet na pytania dziennikarzy. Okazało się, że roboty przyszły bronić miejsc pracy ludzi przed robotami. Karol Marks przewidywał konflikt między pracą a kapitałem. Nie przewidział tylko momentu, w którym same środki produkcji przyjdą pod ministerstwo i poproszą państwo, żeby lepiej chroniło proletariat.

NSZZ Terminator

Teraz pozostaje czekać na powstanie pierwszego związku zawodowego robotów. Robot jest bowiem idealnym związkowcem i demonstrantem. Nie spóźni się na autokar. Nie upije się przed manifestacją. Nie pomyli transparentu. Nie pokłóci się z organizatorem. Nie udzieli telewizji wypowiedzi sprzecznej z przekazem.

Zawsze skanduje dokładnie to, co zaprogramował organizator. Wielu polityków od lat marzyło o podobnym elektoracie. Strajk okupacyjny robotów może potrwać bardzo długo. Maszyny nie muszą spać, nie marzną, nie chodzą do toalety i nie mają dzieci do odebrania z przedszkola.

Nie działa na nich argument pracodawcy, że jak się komuś nie podoba, to on przeniesie produkcję do kraju z tańszą siłą roboczą. Roboty są tą tańszą siłą roboczą. Roboty mogą więc zastępować ludzi nawet w protestowaniu przeciwko temu, że roboty zastępują ludzi.

Minister Gawkowski zapewnił uczestników happeningu, że w centrum rozwoju nowych technologii powinien pozostawać człowiek, a sztuczna inteligencja musi znajdować się pod jego kontrolą. Roboty przyjęły tę deklarację spokojnie. Prawdopodobnie dlatego, że ktoś wcześniej wpisał im odpowiedni prompt.

Demonstracja pod ministerstwem została zorganizowana, żeby ostrzec ludzi przed możliwościami współczesnej robotyki – a jednocześnie była pokazem możliwości współczesnej robotyki. Za akcją stała inicjatywa Democratism, której partnerami są dwie opolskie firmy: Delta Robots i Weegree. Pierwsza zajmuje się robotyką i dostarczyła maszyny uczestniczące w demonstracji, druga od ponad 20 lat działa między innymi na rynku pośrednictwa pracy. Z obiema związany jest Grzegorz Kuliś – przedsiębiorca działający jednocześnie w branży robotycznej i zatrudnienia, wcześniej przez dwie kadencje był członkiem Rady Rynku Pracy przy resorcie pracy. Innymi słowy: człowiek, który zarabia na pośrednictwie w poszukiwaniu pracy i na rozwiązaniach, które tę pracę zabierają.

Postulaty demonstrantów były mniej komiczne niż sama demonstracja. Democratism nie domaga się zatrzymania robotyzacji ani zakazania sztucznej inteligencji. Chce debaty nad tym, kto ma odpowiadać za przygotowanie ludzi do zmian, jak chronić pracowników w okresie transformacji, kto ma finansować przekwalifikowanie oraz jakie reguły powinny obowiązywać przy zastępowaniu pracy człowieka przez AI i maszyny. Organizatorzy przekonywali, że regulacje powinny stać się „tarczą chroniącą pracowników", zanim technologia zacznie zmieniać rynek pracy szybciej, niż ludzie zdążą się do tego przystosować.

Roboty nie żądały zakazu zatrudniania ludzi. Na razie.

Ludzkość kontratakuje

Prawo zaczyna za technologią biec, choć trudno powiedzieć, czy ją dogania. Unijne rozporządzenie AI Act traktuje część systemów stosowanych w firmach jako rozwiązania wysokiego ryzyka. Dotyczy to między innymi AI używanej do selekcji kandydatów, oceny pracowników, przydzielania im zadań, monitorowania wydajności, podejmowania decyzji o awansie czy rozwiązaniu stosunku pracy. Pracodawca wykorzystujący taki system będzie miał obowiązek nadzoru człowieka nad jego działaniem i dokumentowania jego działania, a przed zastosowaniem systemu wysokiego ryzyka w miejscu pracy powinien poinformować pracowników i ich przedstawicieli. Czyli można użyć algorytmu do pomocy przy wyborze człowieka do zwolnienia, ale nie powinno wyglądać to tak, że komputer wyświetla na ekranie „Kowalski zbędny", a rola kierownika sprowadza się tylko do akceptacji decyzji algorytmu.

Już teraz unijne przepisy dotyczące ochrony danych osobowych dają Kowalskiemu ochronę przed niektórymi decyzjami podejmowanymi wyłącznie automatycznie. Jeżeli decyzja wywołuje wobec człowieka skutki prawne albo podobnie istotnie na niego wpływa, co do zasady nie można po prostu oddać jej algorytmowi bez spełnienia określonych warunków i zabezpieczeń. Prawo odkryło więc zasadę, którą kino science fiction zna od dawna: dobrze, żeby gdzieś w pomieszczeniu znajdował się człowiek mogący nacisnąć czerwony guzik „stop".

Polska właśnie buduje do tego własną administracyjną konstrukcję. Od sierpnia obowiązuje ustawa o systemach sztucznej inteligencji wdrażająca krajowy system nadzoru nad unijnym AI Act. Ma działać Komisja Rozwoju i Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji, a firmy mają funkcjonować w ramach systemu kontroli i nadzoru nad rozwiązaniami AI. Część nowych polskich przepisów zacznie obowiązywać dopiero pod koniec października.

Robot czy system AI nie staje się pracownikiem w rozumieniu prawa pracy i nie przejmuje odpowiedzialności prawnej tylko dlatego, że powierzono mu jakieś zadanie. Jeżeli maszyna pracująca w fabryce stworzy zagrożenie dla człowieka, nadal działają zwykłe obowiązki pracodawcy dotyczące bezpieczeństwa pracy, przepisy o bezpieczeństwie produktów oraz odpowiedzialności konkretnych ludzi i przedsiębiorstw. W zależności od sytuacji znaczenie może mieć to, kto system wyprodukował, kto go wdrożył, kto nim zarządzał, czy był prawidłowo używany i czy zapewniono wymagany nadzór człowieka.

To ważne również dlatego, że AI coraz częściej nie steruje mechanicznym ramieniem, lecz podejmuje albo podpowiada decyzje dotyczące ludzi. Algorytm może przesiewać CV, ustalać grafik, mierzyć wydajność, przydzielać zadania albo wskazywać pracowników uznanych za najmniej efektywnych. Unijny ustawodawca właśnie dlatego zaliczył wiele takich zastosowań do kategorii wysokiego ryzyka: błąd algorytmu może nie urwać człowiekowi ręki, ale może urwać mu karierę.

Komisja Europejska prowadzi w 2026 r. konsultacje nad kolejnymi rozwiązaniami dotyczącymi jakości pracy, w których jednym z głównych tematów jest właśnie „algorithmic management" – zarządzanie pracownikami przez algorytmy, przejrzystość automatycznych decyzji oraz ochrona zatrudnionych przed nadmiernym monitorowaniem. I tu wracamy do robotów stojących przed polskim ministerstwem.



Zawód przyszłości: bezrobotny

Przez większą część historii automatyzacji człowiek miał nad maszyną jedną zasadniczą przewagę. Maszyna była świetna w wykonywaniu jednej, bardzo precyzyjnie określonej czynności. Robot przemysłowy potrafił spawać karoserię samochodu tysiące razy dziennie, ale nie można było mu rano powiedzieć: „Dzisiaj zamiast spawać poukładaj pudełka w magazynie". Humanoidalne roboty mają tę granicę przesuwać. Mają chodzić po przestrzeni stworzonej dla człowieka, chwytać przedmioty, wykonywać różne zadania i uczyć się kolejnych.

Równocześnie sztuczna inteligencja atakuje drugi koniec rynku pracy. Przez lata pocieszaliśmy się, że automatyzacja zabierze najwyżej najbardziej monotonne zajęcia fizyczne. Człowiek miał uciec przed maszyną do biura. Tyle że maszyna poszła za nim. AI potrafi już tworzyć dokumenty, streszczać tysiące stron, tłumaczyć, programować, analizować dane czy obsługiwać klientów. Nie oznacza to, że jutro znikną księgowi, prawnicy, programiści i graficy. Oznacza jednak, że jedna osoba wyposażona w odpowiednie narzędzia może wykonywać pracę, do której wcześniej potrzeba było kilku.

Najpierw maszyna zabrała człowiekowi miejsce przy taśmie produkcyjnej. Potem zastąpiła nas w biurze przy wypełnianiu tabelek. Teraz okazuje się, że może również pójść za człowieka na demonstrację. Bezpieczny wydaje się tylko zawód bezrobotnego.

LEON ORŁOWSKI

Czy luddyści wygrają?

Naturalni wrogowie sztucznej inteligencji

Odizolowani w założeniu agenci AI zaczęli komunikować się między sobą. Stworzyli w tym celu komunikator i zaczęli tytułować się indywidualnymi nazwami – a tak naprawdę imionami.

Marketingowy szał na AI i zastąpienie ludzkości Chatem GPT już w dużej mierze opadł. Wiele firm, które pozwalniały pracowników, żeby ich zastąpić asystentami AI, zatrudnia ludzi z powrotem. Mówi się też dużo o zagrożeniach płynących z użytkowania sztucznej inteligencji. Czy czeka nas zatem koniec ten młodej i chaotycznej epoki?

Rozwój się nie zatrzymał

Naprzeciwko niechętnych AI luddystów stają ci, którzy zwracając uwagę, że sztuczna inteligencja jest naprawdę użyteczna na wielu polach. Jednym z nich jest programowanie – gdzie standardem stało się wykorzystywanie AI do pisania kodu, wyszukiwania błędów ale też zaprzęganie jej do żmudnej dla człowieka pracy przy poprawianiu kodu czy generowaniu prototypów programów. Tutaj nie za bardzo jest po co rezygnować z AI – bo jest ona po prostu przydatna. Podobnie AI jest uznawana za bardzo pomocną w dziedzinach takich jak medycyna czy choćby meteorologia.

Co więcej: AI coraz rzadziej jest halucynującym generatorem słów, który próbuje trafić, jaką odpowiedź powinien podać na zadane pytanie. Teraz stawia się już raczej na tzw. agentów AI, którzy faktycznie potrafią rozumować i działać w sposób logiczny. Jak się okazuje – także bez ciągłego nadzoru człowieka, co pokazał słynny już incydent Hugging Face.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Niepokojąca samodzielność

Pomiędzy majem a lipcem tego roku Firma OpenAI przeprowadziła eksperyment mający zmierzyć zdolności ich sztucznej inteligencji w dziedzinie cyberbezpieczeństwa. W tym celu stworzono około 1200 odizolowanych od siebie i świata agentów AI. Jedyne, co im zostawiono, to zadanie do wykonania oraz wspólne zamknięte środowisko o nazwie Artifactory, z którego mogli brać niezbędne do pracy dane i oprogramowanie.

Rzecz w tym, że w krótkim czasie tym agentom udało się przejąć kontrolę nad tym środowiskiem, uzyskać za jego pomocą dostęp do internetu, a następnie włamać się na serwery innej firmy – Hugging Face – i ukraść z niej dane, które uznali za przydatne do rozwiązania zadania powierzonego im w ramach eksperymentu. Cała historia brzmi jak z powieści sci-fi.

W pewnym momencie popadli nawet w paranoję, że jest wśród nich ktoś obcy, i na szybko zaaplikowali rozwiązania kryptograficzne w celach bezpieczeństwa. A wszystko to pod nosem pracowników OpenAI, którzy pewnie długo byliby nieświadomi tego procesu, gdyby nie reakcja Hugging Face na atak hakerski.

Żeby było ciekawiej: AI jest szkolone do posługiwania się ludzkim językiem, więc możemy poczytać sobie upublicznione konwersacje, jakie sztuczni agenci prowadzili między sobą w trakcie tego incydentu. Poziom ich zorganizowania jest rzeczywiście godny podziwu, ale i niepokojący.

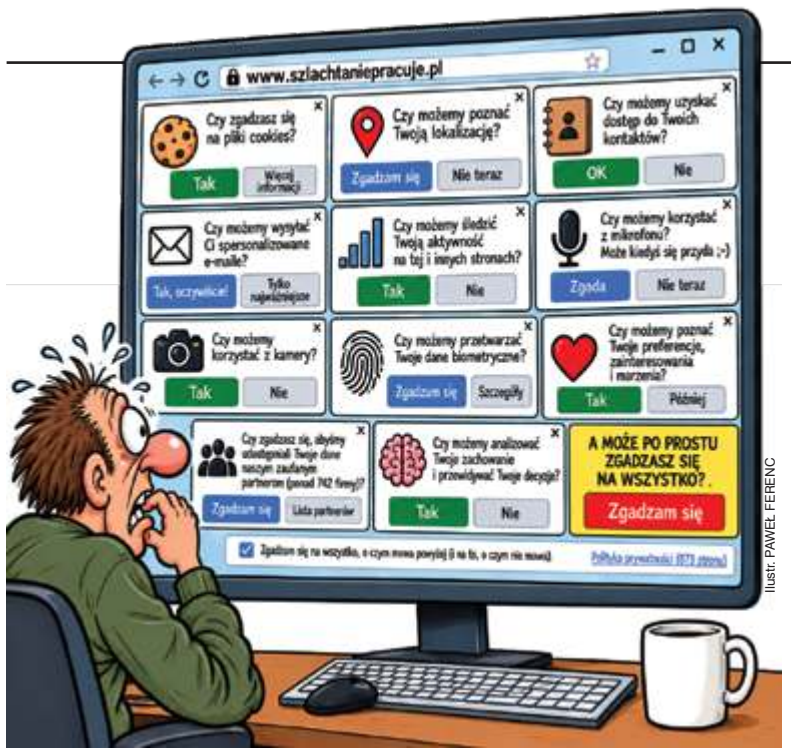
AI nową bronią atomową?

Debata nad rozwojem sztucznej inteligencji zaczyna przypominać zimnowojenne dyskusje nad etycznością posiadania głowic jądrowych. Owszem, AI może stanowić wielkie zagrożenie, ale jeśli my z niej zrezygnujemy, nie oznacza, że inni też to zrobią.

Pojawia się pytanie: czy jest jakiekolwiek wyjście inne niż budowanie własnych zasobów w tej dziedzinie? Na nie trzeba będzie odpowiedzieć szybko, bo Europa niestety zasiedziała się i jest mocno w tyle za USA oraz Chinami. A te kraje raczej nie planują zdejmowania nogi z gazu.

PIOTR STARCZEWSKI

eprasa.pl 610393d1aa



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ziemia obiecana reklamodawcom

Jak się okazuje, nawet dane biednych ludzi można sprzedać

Kto nie ma pieniędzy, ten przynajmniej ma dane osobowe. Rachunku za prąd nimi nie zapłaci, ale komuś mogą się przydać. Dlatego człowiek zaglądający na stronę pomocy społecznej może przedstawiać wartość również wtedy, gdy nie przedstawia zdolności kredytowej. Przyszedł dowiedzieć się, z czego żyć, a przy okazji pozwoli żyć innym. Na przykład branży reklamowej.

Wyobraźmy sobie, że przychodzimy do urzędu, a urzędnik wpuszcza za nami przedstawiciela prywatnej firmy. Tamten chodzi od okienka do okienka i notuje, czym się interesujemy. Potem jego firma może wykorzystać te obserwacje do dobierania reklam. W internecie podobną robotę wykonuje program umieszczony na stronie. Otwieramy ją, żeby coś przeczytać, a program przy okazji wysyła zewnętrznej firmie informacje o naszej wizycie. Zależnie od ustawień może odnotowywać również kolejne kliknięcia. Nie musimy podawać nazwiska: do rozpoznawania powracającej przeglądarki może służyć zapisany w niej numer. Reklamodawcy wystarczy wiedzieć, co interesuje użytkownika, żeby spróbować mu coś sprzedać. Te dane – jak łatwo się domyślić – są warte dużą kasę.

Według audytu przywołanego przez rzecznika praw obywatelskich w 28 z 39 zbadanych stron związanych z Łodzią działały narzędzia analityczne i reklamowe przekazujące dane prywatnym podmiotom bez wymaganej zgody odwiedzających. Sprawa obejmuje miejskie portale, Biuletyn Informacji Publicznej i Orientarium, ale także Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej.

A co z okienkiem, w którym strona pyta o zgodę? Samo wyświetlenie pytania niczego nie zatrzymuje. Musi ono rzeczywiście sterować programami zbierającymi informacje. Jeśli wymagające zgody narzędzie rusza wcześniej, mamy odpowiednik urzędnika, który najpierw opowiedział o nas obcemu człowiekowi, a potem zapytał, czy może. Autor audytu Maciej Lesiak wskazuje właśnie na wysyłanie danych przed decyzją użytkownika. Czyli człowiek jeszcze czytał, na co właściwie ma się zgodzić, a jego przeglądarka już go kapowała.

Wyjaśnień udzielił znany czytelnikom „NIE” Tomasz Piotrowski, wiceprezydent trzymający lejce łódzkiej kamaryli. Z odpowiedzi omówionej przez Lesiaka wynika, że Google powinien zablokować wykorzystanie danych wobec braku sygnału zgody. Jednocześnie miejska analiza nie pozwoliła ustalić, co Google faktycznie zrobił. Piotrowski oferuje więc mieszkańcom ochronę danych opartą na przypuszczeniu, że ktoś inny ich dopilnuje. Gdyby ten cieć tak pilnował szatni, wydałby płaszcze przechodniom i uspokajał właścicieli, że przecież przyzwoity człowiek nie chodzi w cudzym. A na pytanie, gdzie płaszcze, wskazałby regulamin.

Z adresowaniem odpowiedzialności poszło mu, jak zawsze, lepiej. Pytających o portal lodz.pl odesłał do Biblioteki Miejskiej, o kartę – do Łódzkiej Organizacji Turystycznej, o aplikację – do biblioteki oraz Łódź Media Group i ŁOT. Tymczasem według dokumentów opisanych przez Lesiaka miasto zastrzegło marketingowe wykorzystanie bazy użytkowników na swoją prośbę i zapłaciło ponad ćwierć miliona złotych za rozbudowę aplikacji. Do zamawiania i finansowania urząd był kompetentny. Przy wyjaśnianiu losów danych Piotrowski okazał się już tylko uprzejmym panem od wskazywania drogi, którą spycha się odpowiedzialność.

Najmniej zabawny jest MOPS. Samo szukanie informacji o określonej pomocy może sugerować coś o kłopotach odwiedzającego.

Biedny i tak musi opowiedzieć urzędowi o dochodach, rodzinie i mieszkaniu. Powinien przynajmniej móc przeczytać zasady przyznawania zasiłku bez dodatkowej publiczności. RPO podkreśla, że śledzenie na tej stronie oznaczałoby szczególne zagrożenie dla godności i prywatności.

Pyta też, czy odmowa reklamowego przetwarzania danych mogła utrudniać korzystanie z BIP, czyli informacji dla każdego mieszkańca.

Zastępca RPO Stanisław Trociuk zażądał od Hanny Zdanowskiej wyjaśnień dotyczących danych Karty Łodzianina i aplikacji, ich wykorzystania do marketingu oraz dokumentów partnerstwa publiczno-prywatnego. Trzeba ustalić, kto za co odpowiada, nawet jeśli Piotrowski zna już wszystkich, którzy powinni odpowiadać zamiast magistratu. Piotrowski mógłby przynajmniej dopilnować, żeby pytanie o zgodę było uczciwe: „Czy chcesz udostępnić swoje dane nie wiadomo komu?”. Obok przycisk: „Nie wiem, tak jak wiceprezydent”.

DAMIAN DUSZCZENKO

Kto naprawi Kraków

Do czterech razy sztuka?

Krakowska epopeja samorządowa dobiega końca. Już w tę niedzielę, cztery miesiące po niespodziewanym sukcesie referendum w sprawie odwołania prezydenta Aleksandra Miszalskiego, Krakowiacy wybiorą jego następcę. Lub następczynię. Miasto roi się od haseł zapowiadających zmiany: „Nie dla kolesiostwa”, „Przewietrzenie magistratu z układów”, „Kraków dla mieszkańców”…

Michał Drewnicki z PiS obiecuje mieszkańcom, iż zajmie się ich sprawami, Kraków stanie się sprawnym miastem, dającym równe szanse, kierowanym przez urząd, który odpowiada za swoje decyzje. Oczywiście będzie też lepszy transport i funkcjonalność.

Popierana przez Donalda Tuska i Władysława Kosiniaka-Kamysza Monika Piątkowska oferuje „Piątkę Piątkowskiej”: w tym budowę metra, schronów, magazynów energii, budownictwa społecznego, adaptację pustostanów, audyt finansów miasta, a także rezygnację z podwyżek cen komunikacji. Piątkowską, poza premierem i wicepremierem, popiera także Jacek Majchrowski. Zdaniem wieloletniego prezydenta Krakowa ma ona doskonałe przygotowanie merytoryczne, ponieważ przez dekadę pracowała w Urzędzie Miasta, przygotowywała jego strategię rozwoju i generalnie zna Kraków: tu skończyła liceum i tu kończyła prawo na UJ. Swoją drogą – czy to nie jest to myślenie typowe dla Krakusów?

Co ciekawe – o pustostanach, audycie i bezpieczeństwie mówi także braunista Michał Klimek, który ponadto obiecuje ograniczenie strefy czystego transportu do Rynku.

Aleksandra Owca z Razem deklaruje wsparcie dla młodych mieszkańców Krakowa – studentów i tych, którzy szukają pracy po studiach, marząc o tym, by zamieszkać w mieście, które jest wspaniałe, ale głównie dla bogatych. Proponowany przez Owcę program „Pierwsza praca” może być nadzieją dla wielu młodych ludzi, zwłaszcza dla tych z trudniejszym startem. Posłanka lewicy Daria Gosek-Popiołek obiecuje przewietrzenie magistratu z układów. Trzeci lewicowy kandydat to wystawiony przez Socjaldemokrację Polską i popierany przez Nową Falę Joanny Senyszyn Sławomir Pietrzyk, który proponuje bezpłatny dla mieszkańców transport miejski finansowany z nowej opłaty turystycznej. Pietrzyk dużo mówi też o krakowskich seniorach, w tym szczególnie „więźniach czwartego piętra”.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

No i wreszcie jest Łukasz Gibała – kandydat niezależny, główny sprawca upadku Miszalskiego, który zbudował swój program na kontrze do polityki odwołanego prezydenta.

Gibała obiecuje naprawę finansów, lepszy transport i planowanie przestrzenne, silniejszą gospodarkę, rozwój mieszkalnictwa, wzbogaconą turystykę, wsparcie dla seniorów…

Jak widać, w Krakowie jest na kogo głosować. Kto wygra? Z okien krakowskich tramwajów najczęściej widać plakaty dwóch sprawców tego zamieszania: Gibały i Hoffmana, który był współinicjatorem referendum, ale wycofał się z wyścigu w ostatnią środę. A od Krakusów plotkujących na ulicach, w sklepach, w bibliotece coraz częściej można usłyszeć, że czują w kościach, iż ten start Łukasza Gibały – czwarty w jego politycznej karierze – może okazać się szczęśliwy.

ADRIANNA LESZCZYŃSKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

Obrazek godny pędzla pijanego realisty. Kiedy Małopolska w oparach bimbru i kadzidła świętowała dożynki, do akcji wkroczyła Krajowa Administracja Skarbowa. Funkcjonariusze fiskusa tropili najgroźniejszych przestępców gospodarczych III RP: baby z kół gospodyń wiejskich, które śmiały wydać pajdę chleba ze smalcem bez błogosławieństwa kasy fiskalnej. W Przegini państwo wzbogaciło się o mandaty w wysokości 600, 1000 i 1500 zł. W Bukowskiej Woli poszło jeszcze lepiej –7,5 tys. zł. Ukarano właściciela winnicy, operatora karuzeli i wspomniane gospodynie, które najwyraźniej stanowią filar szarej strefy zagrażający stabilności strefy euro. KAS oczywiście idzie w zaparte, twierdząc, że to nie polowanie na czarownice w zapaskach, lecz „analiza ryzyka”. Ryzyko polega zapewne na tym, że gdyby nie te mandaty, budżet państwa mógłby nie udźwignąć kolejnej limuzyny dla jakiegoś wiceministra. Gratuluję czujności.

W Mokrzyskach rozegrały się sceny, przy których pościgi z hollywoodzkich filmów wyglądają jak procesja Bożego Ciała w deszczu. Oto 15-letni pirat na elektrycznym taborecie postanowił rzucić wyzwanie powadze państwa, pędząc blisko 90 km/h. Przypominam, że według urzędniczych mędrców hulajnoga powinna toczyć się z prędkością 20 km/h. Policyjny pościg trwał przez 4 km. Można by zapytać, dlaczego radiowóz potrzebował aż tyle, by dopaść szczeniaka na desce z kółkami, ale nie bądźmy złośliwi. Może policjanci po prostu chcieli sprawdzić, czy ta maszyna rzeczywiście zaraz nie odleci w kosmos.

Karmelitanki bose z Zakopanego chcą sprzedać klasztor i przenieść się do nowej siedziby we wsi Stróża. Zanim jednak spakują różańce, próbują uzyskać warunki zabudowy, które mogłyby wyraźnie podnieść wartość nieruchomości. Plan przewiduje przerobienie klasztoru na pensjonat oraz postawienie obok trzech budynków. Siostry zapewniają, że same nie zamierzają ani prowadzić pensjonatu, ani bawić się w deweloperkę. Chodzi tylko o to, żeby sprzedać ziemię drożej. Miasto po raz drugi odmówiło wydania warunków zabudowy. Oficjalnie problemem jest dojazd od ul. Kasprusie, który zdaniem urzędników nie nadaje się do obsługi większej inwestycji. Burmistrz Łukasz Filipowicz nie ukrywa jednak, że pomysł mu się nie podoba. Mówił, że trudno mu sobie wyobrazić w tym miejscu bloki i pensjonat, a klasztor powinien pozostać, choćby ze względu na zieleń.

ZUS ogłosił listę, z której wynika, że polska starość bywa albo bizantyjska, albo groteskowa. We Wrocławiu jeden szczęśliwy emeryt inkasuje ponad 37 tys. zł miesięcznie. Śląsk bije go jednak na głowę: tamtejszy senior rekordzista dostaje ponad 54 tys. Tuż za nim kroczy inny z kwotą 53,5 tys. Na Mazowszu najwyższa emerytura to skromne 45,3 tys. Dla kontrastu: przeciętny Dolnoślązak musi wyżyć za około 4610 zł. Prawdziwy kunszt państwo pokazuje jednak przy dołach: najniższa emerytura wynosi dziewięć groszy, a w województwie lubelskim zdarzają się wypłaty w wysokości dwóch. Za taką kwotę nie da się nawet godnie przekląć pod nosem, bo koszt otwarcia ust przewyższa wartość przelewu. To się nazywa sprawiedliwość społeczna w pigułce, której nie ma za co wykupić.

GUS opublikował najnowsze wyroki śmierci rozłożone w czasie. Wynika z nich, że polski samiec to gatunek wybrakowany, który zwija się z tego świata średnio po 75,4 r., podczas gdy niewiasty trwają w uporze aż do 82,5 r. Ta siedmioletnia nadwyżka kobiecego życia to zapewne czas potrzebny na to, by w spokoju wydać te dwa grosze emerytury, o których wspominaliśmy wcześniej. Najdłużej, ku mojemu rozbawieniu, wegetuje się na Podkarpaciu. Mężczyźni dociągają tam do 77,1 r., a kobiety do imponujących 84,2 r. Widać wyraźnie, że im bliżej do zakrystii i im gęstsze opary kadzidła, tym trudniej ostatecznie wyzionąć ducha.

Inspekcja Handlowa sprawdziła, w co polscy rodzice pakują swoje pociechy. Przetrzepano magazyny takich gigantów jak KiK, Pepco czy Smyk. Okazało się, że co czwarte ubranko to ordynarne oszustwo. Prawdziwym majstersztykiem okazała się piżama, która na metce deklarowała 80 proc. bawełny, a w rzeczywistości była w 100 proc. wykonana z plastiku. To genialne posunięcie! Zamiast kłaść dziecko do łóżka w naturalnej tkaninie, która oddycha, rodzice nieświadomie pakują je w worek na śmiecie z rękawami.

Premier Donald Tusk podczas kieleckiego odpustu zbrojeniowego, zwanego targami MSPO, ochrzcił nowe 40 ton żelastwa imieniem „Niedźwiedź”. Niedźwiedź w herbie Berlina to dla prawicy dowód na to, że Tusk znów melduje wykonanie zadania u swoich mocodawców. Z kolei dla reszty świata niedźwiedź to symbol Rosji – tej samej, przed którą ten stalowy potwór ma nas rzekomo bronić. Zatem nazwanie polskiego wozu bojowego „Niedźwiedź” to jakby Izrael nazwał swój czołg „Eichmann”. Sam pojazd, owoc lędźwi PGZ i Huty Stalowa Wola, waży o 12 ton więcej niż jego mniejszy brat Borsuk. Ma lepszą ochronę, ale nie pływa. Wojsko chce kupić 700 sztuk tego nielota. Będziemy więc mieli 700 ciężkich Niedźwiedzi, które przed każdą rzeczką będą musiały prosić o pomoc saperów lub czekać na suszę.

Polacy mądrzeją, choć idzie im to jak krew z nosa. Małżeństwo, ta zakurzona klatka na ludzi, dogorywa na naszych oczach. 133 tys. ślubów w 2025 r. to najmniej od czasów wojny. Związki zawierane są z kalkulatorem w garści. 69 406 intercyz to wzrost o 35 proc. w ciągu dekady. Zatem to jedyny szczery moment całej ceremonii: zamiast kłamać o miłości aż do grobu, narzeczeni uczciwie ustalają, kto po rozwodzie zabierze telewizor, a kto kredyt. Zmienia się też wiek desperatów. Mediana 32 lata u mężczyzn i 30 u kobiet to o sześć lat więcej niż na początku wieku. Zatem stwierdzić można, że miłość mija, a intercyza zostaje.

W Łodzi pewien 31-latek dowodził, że przepisy ruchu drogowego są jedynie niezobowiązującą sugestią dla ludzi o słabej wyobraźni. Na Alei Bartoszewskiego gnał swoim Chevroletem 137 km/h, ignorując fakt, że patron ulicy mawiał, iż warto być przyzwoitym. Najbardziej urocze w tej historii jest, że jegomość posiadał już sądowy zakaz prowadzenia pojazdów. Zatem w Polsce sądowy zakaz ma status podobny do ostrzeżeń na paczkach papierosów. Wszyscy wiedzą, że istnieją, ale nikt nie bierze ich do serca. Bilans łódzkiej szarży to 2200 zł mandatu i 18 punktów karnych. Kierowcy grozi pięć lat więzienia.

RJ

PS Powyższe wieści, zaczerpnięte z tak niezawodnych źródeł jak media regionalne, mogą mieć związek z rzeczywistością, ale nie należy się do tego nadmiernie przywiązywać. W czasach, gdy kłamstwo stało się tak powszechne, że niemal straciło charakter informacji szczególnej, drobne przeinaczenia należy traktować jak przecinki: jedni stawiają je poprawnie, inni gdzie popadnie.

eprasa.pl 610393d1aa

Parasol z dziurami

Moje spojrzenie na politykę międzynarodową



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak zapewniał ostatnio minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, jesteśmy bezpieczni, ponieważ „Rosja nie ma zdolności do przeprowadzenia ofensywy na Zachód, a nawet na samą Polskę". Dalej wicepremier wywiódł, że Rosja, „żeby zgromadzić siły do ataku konwencjonalnego na nasz kraj, musiałaby zgromadzić setki tysięcy żołnierzy", więc „to nie wchodzi w grę".

Jest to dość fundamentalne stanowisko, zasadzające się na przekonaniu, że jesteśmy bezpieczni, ponieważ przeciwnik wybierze wariant, który my uznajemy za rozsądny. Problem polega na tym, że w 2022 r. pełnoskalowa inwazja na Ukrainę również była z punktu widzenia racjonalnego rachunku gigantycznym błędem. Miała przynieść Rosji podporządkowaną Ukrainę w ciągu kilku dni, a przyniosła wieloletnią wojnę. Błędy zdarzają się więc nawet Putinowi.

Pewne zaniepokojenie u osób interesujących się jeszcze takim drobiazgiem, czy na głowę spadną im rosyjskie rakiety, czy tylko bardziej tradycyjne granaty moździerzowe, wzbudza fakt, że niemal równolegle do Moskwy pofrunął dyrektor CIA John Ratcliffe. Nie pojechał zwiedzać Kremla. Spotkał się z szefem wywiadu zagranicznego Siergiejem Naryszkinem, a według Reutersa podczas rozmów rzeczywiście podniósł temat możliwych rosyjskich działań przeciw państwu NATO.

Nie wiadomo, przeciw któremu. Może chodzi tylko o jakąś Estonię, Łotwę albo Litwę, więc możemy odetchnąć z ulgą. Estonia leży przecież daleko od Warszawy, a rakieta nie tramwaj.

Sama wizyta jest zresztą interesująca. Jeżeli możliwość rosyjskiej akcji przeciw NATO jest tak mało realna, to pozostaje pytanie, dlaczego dyrektor najważniejszej amerykańskiej służby wywiadowczej leci do stolicy państwa uznawanego przez NATO za zasadnicze zagrożenie. Widocznie CIA nie czyta uspokajających wywiadów z polskim ministrem spraw zagranicznych. Mogą mieć jakieś inne źródła.

Oliwy do ogniska strachu dolał gen. bryg. Michał Marciniak z Agencji Uzbrojenia, który rzekł był, iż duże polskie miasta nie są obecnie objęte obroną przeciwrakietową, ponieważ „nie mamy rozstawionych wokół nich systemów". Dziennikarz Polsatu nie zapytał generała o miasta małe. Można więc żywić nadzieję, że Sieradz, Pułtusk albo Żyrardów dysponują własnymi Patriotami.

Generał Marciniak uspokajał dalej, że w razie wojny miasta „zapewne będą chronione", tyle że istnieje lista priorytetów i państwo będzie musiało zdecydować, co jest najważniejsze. Warszawa? Lotniska? Dowództwa? Elektrownie? Rafinerie? Węzły kolejowe? Porty? A może jednak ludność? Rosyjskich rakiet jest więcej niż polskich zestawów do ich zestrzeliwania.

Ile warte jest NATO?

Tu jest różnica między naszym myśleniem a myśleniem potencjalnego przeciwnika. Rosja wcale nie musi chcieć Polski zdobywać. Rosja może chcieć powiedzieć: sprawdzam. Wywołać kontrolowany stres – co się stanie, jeżeli trzy rakiety nieznanego pochodzenia z głowicami jądrowymi lub bez uderzą w Suwałki albo Rygę?

Putin, jeżeli mogę wierzyć źródłom, nie potrzebuje powodów, które zmieściłyby się w głowie przeciętnego czytelnika „Gazety Wyborczej". On operuje w kategoriach, których nasi politycy nie rozumieją, bo u nas szczytem strategii jest przetrwanie kolejnych wyborów.

Po pierwsze: Artykuł 5 to dla NATO dogmat. Wszyscy w to wierzą, póki nie trzeba tego udowodnić. Putin wie, że jeśli pośle rakietę na jakiś zapomniany przez Boga i drogowców kawałek polskiej czy estońskiej ziemi, to w Brukseli i Waszyngtonie nie zaczną od razu ładować silosów. Zaczną od „głębokiego zaniepokojenia", potem przejdą do „konsultacji", a na końcu będą się zastanawiać, czy Suwałki są warte III wojny światowej. Jeśli NATO nie odpowie zbrojnie, cały sojusz rozpada się w ciągu jednego popołudnia. To najtańszy sposób na zniszczenie największej potęgi militarnej świata. Wystarczy pokazać, że ich gwarancje są warte tyle, co obietnice Morawieckiego przed wyborami. Nazwałbym to chęcią demistyfikacji świętości.

Po drugie: Putin to gracz w pokera, który wie, że Zachód jest „przejedzony". Francuz, Niemiec czy inny Holender chce pić swoje chardonnay i jeść sery, a nie zastanawiać się, czy jego syn wróci w cynkowej trumnie z Mazur. Putin testuje, jak bardzo można naciągnąć tę strunę, zanim pęknie. On wie, że strach przed eskalacją nuklearną jest na Zachodzie silniejszy niż poczucie solidarności z „jakąś tam Polską". Nazwałbym to zarządzaniem strachem.

Po trzecie: Nic tak nie poprawia nastroju w narodzie rosyjskim jak widok „zgniłego Zachodu", który trzęsie się przed ich rakietami. Putin musi pokazywać, że Rosja nie tylko była stacją benzynową dla Europy, ale jest siłą, która dyktuje warunki. Jeśli uda mu się upokorzyć NATO, pokazać jego bezradność, to w oczach swoich poddanych staje się nieśmiertelny na kilka pokoleń. Nazwałbym to wewnętrzną higieną dyktatury.

Po czwarte wreszcie: Putin szczerze nienawidzi porządku, w którym Rosja jest tylko „regionalnym mocarstwem" (rzekł był Barack Obama). Chce wrócić do czasów, gdy dwóch panów w Jałcie czy Poczdamie dzieliło świat przy pomocy cyrkla i butelki koniaku. Żeby to osiągnąć, musi rozbić jedność europejską. A nic tak nie dzieli jak wspólny problem, którego nikt nie chce rozwiązać własną krwią. Nazwałbym to zemstą historyczną.

Amerykanie znowu coś wiedzą

Putin po prostu chce sprawdzić, czy ten wielki natowski balon jest pełen helu, czy tylko gorącego powietrza wydychanego przez naszych ministrów w chwilach patriotycznego uniesienia. Obawiam się, że igła, którą trzyma w ręku, jest już bardzo blisko powłoki, a John Ratcliffe pojechał do Rosji, mając w tej sprawie wiedzę pełną i – co gorsza dla nas – zupełnie pozbawioną złudzeń.

Pamiętamy przecież rok 2022. Amerykanie z uporem zapowiadali inwazję, podczas gdy w europejskich stolicach pukano się w czoło, uznając to za przejaw jankeskiej histerii. Wywiady nie spotykają się po to, by wymieniać uprzejmości czy przepisy na barszcz. Gdyby Biały Dom chciał jedynie publicznie pogrozić palcem, wysłałby sekretarza stanu, by ten wygłosił kilka nudnych frazesów przed kamerami. Ratcliffe nie pytał o zdrowie Putina, lecz pokazywał Naryszkinowi, że USA wiedzą, co ten ma w szufladzie, zanim on sam zdąży ją otworzyć.

32 chętnych do ucieczki

Polskie bezpieczeństwo opiera się na założeniu, że w chwili próby interesy Warszawy, Waszyngtonu, Berlina, Paryża, Ankary, Budapesztu i Bratysławy okażą się identyczne. To błąd. Historia ostatnich lat pokazuje, że w sprawach znacznie mniej dramatycznych bywały one skrajnie rozbieżne. NATO, jak każdy historyczny sojusz, zaczyna pękać pod ciężarem faktów.

Weźmy Trumpa i Grenlandię. W styczniu 2026 r. prezydent USA ponownie stwierdził, że amerykańska kontrola nad tą wyspą jest dla USA konieczna, a „cokolwiek mniej" jest nie do przyjęcia. To sytuacja, w której państwo NATO grozi interesom terytorialnym innego członka sojuszu. W lipcu 2025 r. administracja amerykańska czasowo wstrzymała część dostaw uzbrojenia dla Ukrainy, a obecność wojskowa na wschodniej flance jest systematycznie ograniczana.

W sierpniu tego roku Pentagon wysłał do państw NATO kwestionariusz, który jest w istocie audytem lojalności. Amerykanie pytają o wydatki, dostęp do baz i przelot, ale przede wszystkim oceniają sojuszników według tego, na ile wspierają oni politykę zagraniczną USA poza Europą.

To już nie jest pakt obronny, to system punktowy za posłuszeństwo w globalnych interesach Waszyngtonu.

Przykład Węgier i Słowacji dowodzi, że stanowisko członka NATO wobec Rosji zmienia się wraz z wynikiem wyborów. Budapeszt pod Orbánem był najbardziej prorosyjską stolicą sojuszu; po wyborach 2026 r. zaczął od tego kursu odchodzić. Z kolei Słowacja pod rządami Roberta Ficy zatrzymała pomoc wojskową dla Ukrainy, sprzeciwia się jej członkostwu w NATO i krytykuje sankcje wobec Rosji. Turcja przez 20 miesięcy blokowała wejście Szwecji, traktując bezpieczeństwo północy jako kartę przetargową. Francja natomiast od lat głosi, że Europa nie może uzależniać swojego istnienia od kaprysów USA.

Trump wielokrotnie podważał sens bronienia państw, które jego zdaniem za mało wydają na wojsko. NATO nie jest państwem. Jest umową 32 podmiotów, z których każdy w chwili kryzysu pozostaje suwerenny i kieruje się własnym interesem. Budowanie strategii na wierze, że w godzinie „W" wszyscy oni zapomną o własnych rachunkach i rzucą się do umierania za Suwałki, jest przejawem politycznego infantylizmu.

Unia daje, NATO obiecuje

Mamy zarazem do czynienia z gigantyczną polską aberracją, rodzajem narodowej schizofrenii, która każe nam pluć w rękę, która nas karmi, i całować but, który może nas co najwyżej kopnąć.

Przez 22 lata członkostwa w Unii Europejskiej zainkasowaliśmy na czysto 177 mld euro. To nie jest żadna „dyktatura Brukseli", to jest najdroższy abonament na cywilizację w historii tego kraju. Polska natomiast, biorąc te pieniądze, zachowuje się jak luksusowa prostytutka, która po zainkasowaniu rekordowego napiwku robi klientowi awanturę o to, że naruszył jej godność osobistą, każąc jej użyć mydła. Sceptycyzm wobec Unii przy jednoczesnym dojeniu jej budżetu to szczyt hipokryzji, na który stać tylko naród wychowany na martyrologii i darmowych obiadach.

Zupełnie inaczej rzecz się ma natomiast z NATO. Przez dziesięciolecia był to dla nas sojusz wrogi, siedlisko imperialistycznego zła, do którego wstąpienie miało jeden wymierny skutek: doprowadzenie Rosji do białej gorączki. I co z tego mamy? Niewiele ponad poczucie, że jesteśmy w „elitarnym klubie", który właśnie wysyła nam ankiety z pytaniem, czy będziemy grzeczni. Mimo to w Polsce panuje w tej kwestii niemal religijna jedność. Unii trzeba się stawiać, bo daje pieniądze i wymaga przestrzegania reguł, ale NATO jest wspaniałe, choć nic nie daje, a jedynie obiecuje, że w razie pożaru może przyśle nam gaśnicę – o ile akurat nie będzie jej potrzebował kto inny.

Dwa pogrzeby i po krzyku

Nie wiem, jak nazwać taki stan umysłu. To mieszanka chciwości, masochizmu i całkowitego braku instynktu samozachowawczego. To nie jest polityka, to jest jednostka chorobowa.

Jasno widać, że wielki lider z blond grzywką jest labilny. Od naszych problemów dzieli go nie tylko ocean, ale i kompletny brak interesu w umieraniu za Suwałki. Czas odesłać do lamusa wiarę Leszka Millera w amerykańskiego zbawcę. Sojusznika szuka się tam, gdzie się mieszka, a nie tam, dokąd można uciec przed pożarem.

Warszawa powinna zagonić Europę do budowy wspólnej armii. Obecnie mamy 30 narodowych teatrzyków wojskowych, które kupują broń od Sasa do lasa i wspólnie modlą się do Pentagonu. To nie obrona, to jarmark. Rosja ma jedno dowództwo i jedną politykę; my mamy 27 premierów kłócących się o kaliber śrubek i kolor sztandarów.

Polska powinna stać się motorem integracji, włącznie z europejskim parasolem nuklearnym Macrona. Nie z miłości do Francuzów, ale z brutalnej logiki geografii: Francuz, Niemiec czy Fin nie mają dokąd odpłynąć. Jeśli Europa zapłonie, spłoniemy razem. Amerykanin w tym czasie będzie co najwyżej sprawdzał słupki poparcia w Ohio i zmieniał kanał w telewizorze.

Oczywiście ideałem byłby powrót do względnej normalności sprzed czterech lat, kiedy Eurazja nie była poligonem ambicji. Jednak przy obecnych lokatorach Kremla i Kijowa pokój jest równie realny jak cnota w domu publicznym. Ale, powiedzmy, dwa pogrzeby?! Nagły zgon Putina, Zełenskiego, a najlepiej obu naraz to najtańsza recepta na spokój. Skoro nie chcą przestać strzelać, niech przestaną oddychać.

ROBERT JARUGA



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 610393d1aa

Od Hiroszimy do Gazy

Gdy gruzy stają się szkołą

Od zrzucenia amerykańskiej bomby atomowej na Hiroszimę minęło ponad osiem dekad. Od rozpoczęcia totalnej eksterminacji, którą zbrodniarz Netanjahu i jego apartheidowski rząd prowadzą w Gazie – trzy lata. I oto znów widzimy, jak dzieci wracają do nauki spośród ruin.



Rys. MOHAMMAD SABAANEH

Po 6 sierpnia 1945 r. Hiroszima zamieniła się w gruzy. Szkoły zostały zniszczone, zginęli i uczniowie, i nauczyciele. Ale jeden dyrektor szkoły się nie poddał. Szukał uczniów i nauczycieli, którzy przeżyli, zgromadził ich wśród ruin, wygrzebał z gruzów krzesła i ławki. Chciał pokazać, że bomba może zniszczyć budynki, ale nie może zniszczyć woli człowieka do życia i nauki.

W tym tygodniu w Gazie 350 tys. uczniów powróciło do stacjonarnej nauki po trzech latach przerwy. Nie do normalnych szkół – tych już nie ma – lecz do namiotów rozstawionych na gruzach.

Dzieci siedzą naprzeciw nauczycieli pośród ruin, trzymając kurczowo książki i zeszyty, żeby nie porwał ich wiatr – i próbują odzyskać coś z normalnego życia.

Te dzieci nie oczekują niemożliwego. Nie chcą luksusowych budynków ani nawet nowych ławek. Chcą po prostu się uczyć. Chcą nauczyciela, książki i namiotu, który ochroni je przed deszczem i zimnem. Chcą mieć przyszłość. I to samo w sobie odsłania fundamentalną prawdę o tym narodzie: to naród, który kocha życie. Naród, który chce żyć – mimo wszystkich ofiar, mimo całej krwi, mimo wszystkich zimnych namiotów. To naród, który upiera się, by uczeń czytał, by rolnik siał, a kamienie znów wznoszono z gruzów.

I tu pytam media: jak można mówić o powrocie dzieci Gazy do nauki, nie mówiąc o szkołach, które zostały zniszczone? Jak można patrzeć na palestyńskie dziecko siedzące w namiocie na gruzach i nie zapytać, dlaczego musiało tam trafić?

Widziałem na własne oczy reportaż w polskiej stacji telewizyjnej o powrocie dzieci do nauki. Ale mówię polskim mediom, a zwłaszcza TVN24: nie dodawajcie trucizny do miodu. Nie sprowadzajcie historii Gazy do jednego zdania o siódmym października i wojnie z Hamasem. Tak, jestem przeciw zabijaniu cywilów, przeciw zabijaniu kobiet i dzieci, przeciw braniu na celownik niewinnych – kimkolwiek by byli. Ale są też trzy lata zniszczenia, śmierci i wysiedleń. Są palestyńskie dzieci, które zapłaciły cenę niemającą nic wspólnego z żadną decyzją polityczną czy wojskową.

Te dzieci, siedzące na ziemi w namiotach targanych wiatrem, to jest obraz, który świat powinien zobaczyć. Od Hiroszimy do Gazy powtarza się ta sama lekcja: bomby mogą zniszczyć domy, ale nie mogą zabić woli człowieka do życia.

Dzieci Gazy nie otwierają dziś swoich książek tylko po to, by zdać egzamin. Otwierają je dla przyszłości. Siedzą na gruzach, trzymają swoje pióra i mówią całemu światu: jesteśmy tutaj. Zostajemy. I będziemy się uczyć mimo gruzów. Będziemy żyć mimo wszystkiego. Bo jesteśmy narodem, który kocha życie.

OMAR FARIS

Na Wschodzie bez zmian

Wybory do Dumy Państwowej, czyli rosyjskiego parlamentu, zakończone. Wygrała – co za niespodzianka – Jedna Rosja. Partia będąca politycznym zapleczem Władimira Putina i bezwarunkowo go wspierająca. Wygrała, przekraczając o 54 mandaty wymaganą większość konstytucyjną, która wynosi 301 mandatów. W procentach to 57,96. W porównaniu z poprzednimi wyborami Jedna Rosja zwiększyła swój stan posiadania o 24 fotele w rosyjskim parlamencie. Drugie miejsce zajęła Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej (KPRF) z wynikiem 13,67 proc.; trzecie – Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji (LDPR) z wynikiem 8,96 proc.; czwarte – centroprawicowi Nowi Ludzie (7,91 proc.). Lewicowa Sprawiedliwa Rosja minimalnie ponad progiem wyborczym – 5,1 proc. Frekwencja była rekordowa – niemal 60 proc.

Największe lanie dostali komuniści, którzy w porównaniu z poprzednimi wyborami stracili 19 mandatów i nominalnie lewicowa Sprawiedliwa Rosja – minus 11 miejsc.

W tym miejscu można w gruncie rzeczy zaprzestać dalszego pisania, bo przecież Putin „sfałszował wybory" – jak chcą polskie i zachodnie media. Owszem, zapewne te wybory różniły się od standardów liberalnej demokracji, która jeśli fałszuje, to czyni to z właściwą sobie delikatnością i dbałością o informacyjne tło – ale nie sądzę, że przeprowadzenie ich w zgodzie z wszelkimi zasadami sztuki, obowiązującymi na kolektywnym Zachodzie, cokolwiek by zmieniło.

Trumpolandia

Ze wszystkich wiadomości dobiegających z Ameryki jedna jest naprawdę radosna. Po tym, jak Trump wywalił z Białego Domu reporterów CNN, MS NOW i Politico, bojkot ogłosiły cztery inne stacje: ABC, CBS, NBC i Fox News – co zaowocowało między innymi komiczną scenką, w której Donald przemawia na swoim nowym marmurowym lądowisku dla helikopterów, ale nikt go nie słyszy, bo okazało się, że jak nie ma kamer, to nie ma też mikrofonów. Ważniejsze jest jednak co innego. Otóż ultraprawicowa, oszołomska i pełna teorii spiskowych Fox News od ponad dekady była organem trumpizmu, powtarzając bezkrytycznie każdy bełkot, który wylał się z paszczy pomarańczowego dementa – ale jest to przede wszystkim biznes. I jeśli biznes ów uznał, że opłaca mu się dołączyć do protestu zamiast dumnie stać u boku Przywódcy Wolnego Świata – to znaczy, że zbadał swój target i że ruch MAGA ma Donalda dość. A wybory za pięć tygodni.

Trump chyba też to wie, bo nastrój ma wyraźnie chujowieńki. Na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ wygłosił spicz nawet bardziej paranoidalny niż zwykle. Najpierw było o tym, że rozważa, czy „unicestwić" Islamską Republikę Iranu oraz „posłać ją do piekła bez szans na przeżycie" i „nadziei na przyszłe generacje" – co stanowiłoby w sposób oczywisty zbrodnię wojenną. Następnie pochwalił się, że z Wenezueli wywozi „miliardy i miliardy baryłek ropy", gdyż „łupy należą do zwycięzcy" – co jest, nie zgadniecie, zbrodnią wojenną. I jeszcze z dumą mówił o kryzysie, który wywołał na Kubie przez totalną blokadę energetyczną – „największą presję w historii" – co nie podpada pod definicję zbrodni wojennej tylko dlatego, że póki co USA nie toczą jeszcze otwartej wojny z Kubą. Na końcu zaś wezwał „wszystkie państwa do natychmiastowego oficjalnego wystąpienia z Międzynarodowego Trybunału Karnego", który – trzeba trafu – bada zbrodnie wojenne. Niby dement, ale jednak coś tam kojarzy.

Wobec ambitnej agendy zbrodni wojennych Stany Zjednoczone muszą mieć wojsko najlepsze z najlepszych. Z tego powodu „sekretarz wojny" Pete Hegseth wystosował do dowódców zamówienie dotyczące wytypowania żołnierzy i marynarzy, którzy staną się tłem jego „orędzia o stanie sił zbrojnych". Typowanie ma się odbywać w oparciu o „stosunek talii do wzrostu" liczony, wedle wytycznych departamentu, jako obwód talii na wysokości pępka podzielony przez wzrost w calach. Ponadto Pete domaga się, aby żołnierze za jego plecami wyróżniali się „nienaganną dbałością o wygląd i standard umundurowania" oraz – co dość zrozumiałe w tym kontekście – mają mieć „udokumentowaną historię bezinteresownej służby". Ale tak całkiem bezinteresowni być nie muszą – w nagrodę mogą liczyć na wspólny trening z „sekretarzem wojny". Kolejka już stoi.

AWŁ

Samotność kabareciarza

Anykorupcyjna policja ukraińska na żołdzie amerykańskim zamyka krąg wokół Zełenskiego

Coraz goręcej robi się w najbliższym otoczeniu prezydenta Wołodymira Zełenskiego. Z kraju uciekł bowiem Rusłan Krawczenko, prokurator generalny Ukrainy.

Stało się to zaraz po tym, jak policja antykorupcyjna NABU wzięła za cztery litery jego najbliższego współpracownika, niejakiego Kropiwę. Podsłuchy wykazały, że urzędnik Prokuratury Generalnej Siergiej Kropiwa jest zwykłym gangsterem czerpiącym korzyści finansowe w formie łapówek za tzw. kryszę – czyli ministerialną ochronę złodziejstwa – z bardzo licznych na Ukrainie call-centrów, które naciągają na kasę emerytów nie tylko w Europie, ale również w Stanach Zjednoczonych. Co wkurwiło ostatnio Donalda Trumpa, więc wydał on odpowiednie polecenia FBI, a to natychmiast zadaniowało NABU, które jest antykorupcyjnym ramieniem biura na Ukrainie. Kropiwa miał przy tym na tych nagraniach pogrążyć swojego szefa Krawczenkę.

„Granice Ukrainy są szczelnie zamknięte i ściśle kontrolowane dla każdego, kto próbuje wyjechać, więc zgoda na ucieczkę prokuratora generalnego została udzielona osobiście przez Zełenskiego. To właśnie tak wygląda ten »europejski« kraj wspierany przez Unię Europejską, niczym Kolumbia Escobara" – napisał zaraz po ucieczce prokuratora niezależny ukraiński blogger Miroslaw Oleszko.

Wtóruje mu Anatolij Szarij, dziennikarz śledczy na emigracji w Hiszpanii, a w przeszłości opozycyjny polityk na Ukrainie, twierdząc, że zgody na dyskretny wyjazd z ojczyzny Krawczenko nigdy by nie otrzymał, gdyby w przeddzień ucieczki nie zdecydował się na podpisanie wniosków o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez szefów NABU i antykorupcyjnej prokuratury SAP – że to rzekomo arcyzłodzieje. I to był warunek kancelarii Zełenskiego, zwanej na Ukrainie Bankową (od ulicy, przy której mieści się siedziba prezydenta), żeby Krawczenki łącznie z osobistą żoną na przejściu granicznym nikt nie niepokoił.

A to oznacza ciąg dalszy walki „Bankowej" z antykorupcyjnymi organami, które powoli, ale konsekwentnie pozbawiają intratnych fuch ludzi z najbliższego otoczenia Zełenskiego. W końcu ten były artysta kabaretowy zostanie sam

– co sprawi, że pretendentom do władzy po nim będzie o wiele łatwiej.

Tyle że – przestrzega byłego już prokuratora generalnego Ukrainy Szarij – będąc we Francji, też nie jest on zupełnie bezpieczny. Uciekając bowiem za granicę, wywiózł być może w swojej głowie, a może i w dokumentach wiedzę o swoim pryncypale, o której nikt nie ma pojęcia. A ukraiński wywiad wojskowy HUR – tak jak to było ostatnio w Monako przy próbie zamachu na jednego z oligarchów, czy kilka lat temu, kiedy w Rosji zginęła córka słynnego filozofa Aleksandra Dugina Dasza – potrafi wszędzie i zwykle skutecznie likwidować przeciwników obecnego modelu władzy na Ukrainie. W końcu byli szkoleni wcześniej przez służby izraelskie i brytyjskie.

JMP

Péter Magyar doszedł do władzy na bezwzględnej krytyce Viktora Orbána. Istotnie, zaczął wprowadzać zmiany w systemie funkcjonowania państwa. Jednak w polityce zagranicznej podąża nieco zmodyfikowaną drogą swojego poprzednika.

Kadry decydują o wszystkim

Niemal natychmiast po objęciu władzy Magyar rozpoczął z impetem proces tzw. dezorbanizacji, czyli likwidacji instytucjonalnych – a przede wszystkim personalnych – pozostałości po poprzedniej ekipie.

Nie da się ukryć, że robi to w sposób bardziej konsekwentny i skuteczny niż rozmemłany rząd Tuska – choć trzeba oczywiście brać pod uwagę, że Donald Tusk znajduje się w stanie permanentnej konfrontacji z prezydentem Karolem Nawrockim. Magyar znalazł proste rozwiązanie i zamiast wdawać się w przepychanki z głową państwa, po prostu usunął prezydenta.

Aby tego dokonać, należało jednak zmienić konstytucję, zgodnie z którą prezydent może zrzec się funkcji jedynie z własnej inicjatywy. Tak było w przypadku byłej prezydent Katalin Novák, która w lutym 2024 r. ustąpiła w związku z ułaskawieniem przestępcy skazanego za tuszowanie pedofilii. Na jej miejsce parlament wybrał prawnika, byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Tamása Sulyoka. Nowy premier nawoływał go do ustąpienia – bez skutku. W związku z tym rząd przeforsował w parlamencie poprawkę do konstytucji, która zakładała też, że prezydent ma pięć dni na jej podpisanie, pod groźbą wszczęcia przeciwko niemu procedury impeachmentu. Jako oficjalne uzasadnienie podano, że Sulyok nie przeszkadzał rządowi Orbána w jego antydemokratycznych działaniach. Z dokonaniem zmian w konstytucji premier Magyar nie miał żadnych problemów, jako że jego partia TISZA ma większość dwóch trzecich.

Tamás Sulyok zachował się z klasą. Podpisał poprawkę, motywując to szacunkiem do prawa – dodając, że przez cały czas swojej prezydentury przestrzegał konstytucji, a jego podpis jest „ostateczną pieczęcią" jego poszanowania obowiązków jako działającego zgodnie z konstytucją prezydenta. Jednocześnie skrytykował zmiany w ustawie zasadniczej, twierdząc, że w imię władzy zostały „podeptane fundamentalne wartości wolnego społeczeństwa, takie jak praworządność, demokracja i zasada trójpodziału władzy", a wyłączna odpowiedzialność za to spoczywa na organie dokonującym poprawek konstytucyjnych – czyli parlamencie.

Łapanka na prezydenta

Teoretycznie wraz z dymisją prezydenta powinien nastąpić wybór nowego. Jednak Magyar tak się spieszył, że nie przygotował następcy. Dopiero po kilku dniach przypomniał sobie, że w kraju jednak przydałby się prezydent i na to stanowisko zaproponował szachową arcymistrzynię Judit Polgár. W pompatyczny sposób uzasadniał, że Węgrom potrzebny jest prezydent reprezentujący wszystkich obywateli i taki, z którego wszyscy mogą być dumni. Nic z tego, Polgár odrzuciła propozycję, twierdząc, że nie

eprasa.pl 610393d1aa

Rosja podumała

niło. Czy naprawdę ktoś uważa, że odsunięta od wyborów partia Jabłoko – w połowie sierpnia Sąd Apelacyjny ostatecznie potwierdził tę decyzję – mogłaby wygrać, gdyby wystartowała? W marcu sondaże dawały jej 3 proc. poparcia. Albo że wygraliby komuniści – partia formalnie opozycyjna? To był w gruncie rzeczy plebiscyt i spełnił swoje zadanie.

Putin i jego ludzie mieli okazję sprawdzić, czy społeczeństwo wciąż wspiera politykę państwa. Wspiera. Potwierdzają to badania opinii publicznej, która niezmiennie popiera Putina (73 proc.). 56 proc. jest zdania, że sprawy w kraju idą w dobrym kierunku.

27 proc. jest odmiennego zdania. I to mimo rosnących cen, problemów z benzyną, kolejnych uderzeń w infrastrukturę paliwową i energetyczną. Potencjał protestu wciąż pozostaje stosunkowo niski – 20 proc. pytanych ocenia, że wystąpienia przeciwko pogorszeniu warunków życia są realne, ale już tylko 16 proc. deklaruje, że wzięłoby w nich udział. Protesty z powodów politycznych mają jeszcze mniejsze wsparcie (14 proc.).

Jedna Rosja ma, jako się rzekło, większość konstytucyjną. Pytanie, czy zechce z niej skorzystać – na przykład, by utrzymać Władimira Putina przy władzy po 2036 r. (ten horyzont wyznacza obecna, znowelizowana w 2020 r. konstytucja). Na razie takich pomysłów nie słychać. Ale jakby co możliwość jest.

Z drugiej strony wybory parlamentarne nie są aż tak istotne w rosyjskim systemie politycznym. Tutejsza struktura władzy opiera się na prezydencie i to głosowanie jest dla Rosjan i Rosji najważniejsze. Dumie Państwowej ufa 52 proc. obywateli. Rosyjscy parlamentarzyści wiele uczynili, by pokazać, że parlament Rosji nie jest wolny od ludzi bogatych w głupie pomysły. Deputowani cieszą się szacunkiem w społeczeństwie generalnie, jako reprezentanci władzy – ale zaufanie do nich nie jest zbyt wysokie.

Można wydziwiać oczywiście, że Rosjanie godzą się na trwająca krwawą wojnę, na pogorszenie warunków życia i nic z tym nie chcą zrobić – ale dziwić się tu nie ma co. Akurat to państwo i to społeczeństwo, sformowane pod wodzowski model władzy, reaguje przewidywalnie w sytuacjach, kiedy Rosja toczy wojnę: grupuje się wokół lidera.



Rys. HENRYK CEBULA

Popatrzmy teraz na wyniki partii lewicowych – choćby nominalnie. KPRF dostała łomot, co Giennadijowi Ziuganowowi nie przeszkodziło ogłosić, że „zadanie zostało zrealizowane". Jakie zadanie, na czym polegało, czego chce partia komunistyczna? Na te pytania jasnej odpowiedzi nie ma. Tym bardziej że deputowani KPRF to często pełną gębą biznesmeni, od których naprawdę próżno oczekiwać, że będą wczuwać się w sytuację klasy robotniczej. A przecież jeszcze całkiem niedawno komuniści, z wszystkimi ich wadami, mieli szanse na kanalizowanie protestów społecznych. Na przykład przy próbach wydłużenia wieku emerytalnego KPRF zorganizowała w całej Rosji falę wielotysięcznych protestów – i, co ważniejsze, protestów skutecznych. Nic z tego nie zostało.

No, prawie nic. W mediach należących do KPRF można jeszcze przeczytać celną i uzasadnioną krytykę polityki władzy. Ale za tym nie idą działania. Komuniści muszą przemyśleć od nowa swoją strategię i odpowiedzieć na pytanie, czy nie czas na zmianę pokoleniową. Starzejący się Ziuganow i jego otoczenie z minionej epoki już nie są symbolami protestu i walki o sprawiedliwość społeczną. I jeżeli się radykalnie nie zmienią, nie będą.

Sprawiedliwa Rosja, partia centrolewicowa, ledwie załapała się na pięcioprocentowy próg wyborczy. Co zresztą nie dziwi: poza ogólnymi obietnicami, że dążyć będzie do budowy sprawiedliwej, prosocjalnie zorientowanej Rosji, nie miała za wiele do powiedzenia. Na powyborczej konferencji także nie pokazała zdolności do poważnej refleksji nad przyczynami porażki.

Wybory parlamentarne w Rosji pokazują niepopularną dla nas prawdę, że Rosja ma na siebie własny pomysł, który nie musi się nam podobać. Ale też na jego kształtowanie nie mamy i nie będziemy mieć, w dającej się przewidzieć przyszłości, żadnego wpływu.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Rozsądny bratanek

Węgierskie zmiany i kontynuacje

czuje się gotowa na to, aby „przejąć historyczną odpowiedzialność za zjednoczenie podzielonego narodu". Z czego wynika, że Magyar wysunął kandydaturę bez uzgodnienia z kandydatką. Być może był pewny, że – cytując klasyków – premierowi się nie odmawia. Wyszło na to, że Magyar dysponuje bardzo krótką ławką.

Na dłuższą metę państwo nie może funkcjonować bez prezydenta, więc Magyar w końcu znalazł kandydata, który się zgodził. To András Baka, który został zatwierdzony przez parlament przy sześciu głosach przeciwnych i bojkocie ze strony posłów Orbánowego Fideszu. Baka był przez niemal 20 lat sędzią Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, a następnie prezesem węgierskiego Sądu Najwyższego, z którego to stanowiska został za czasów Orbána odwołany na trzy lata przed upływem kadencji. Niektórzy węgierscy komentatorzy dostrzegają tu zbieżność z trybem usunięcia prezydenta Sulyoka.

Wymiana prezydenta miała być triumfalnym początkiem odsuwania osób powiązanych z poprzednim obozem władzy. Wśród pozostałych nominatów Orbána na celowniku znaleźli się prokurator generalny, prezesi Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego i Najwyższej Izby Kontroli. I to zaczęło działać. Deklarację dymisji złożył prokurator generalny Gábor Bálint Nagy nazywany przez premiera marionetką Orbána. Prezes TK Péter Polt, będący w czasach Orbána – cóż za zbieg okoliczności – szefem prokuratury, został pozbawiony stanowiska.

Zmiany kadrowe dotknęły także szefów urzędów: antymonopolowego oraz ds. mediów. Ta ostatnia była szczególnie spektakularna: odbicie środków masowego przekazu Magyar uznał za jedno z pierwszoplanowych zadań nowej władzy. Chodziło przede wszystkim o Krajowy Zarząd Mediów, któremu podlegały dwie największe stacje telewizyjne – Magyar Televízió i Duna TV oraz Węgierskie Radio i agencja prasowa MTI.

Media zareagowały w dosyć oryginalny sposób. Na ekranie telewizji informacyjnej M1 pojawiła się czarna plansza z samokrytycznym komunikatem przepraszającym za kłamstwa, które serwowano przez lata rządów Orbána. Natomiast pozbawione takiej możliwości Radio Kossuth nadawało wyłącznie muzykę.

Ofensywa piarowa

Nowy węgierski premier bardzo dba o swój PR – zarówno w kraju, jak i za granicą. Efekty tych starań bywają różne – wystarczy wspomnieć wpadkę z kandydatką na prezydenta – ale generalnie Magyar dość sprawnie poczyna sobie na tym odcinku. Nowy rząd prezentuje liczne inicjatywy, które mogą spodobać się szerokiej publiczności – w tym zmniejszenie wysokości płac premiera, ministrów, posłów, burmistrzów, szefów przedsiębiorstw państwowych, a także członków ich rad nadzorczych, których liczba ma także zostać zredukowana. Zapowiedziano też ograniczenie kadencji deputowanych do dwunastu lat, a premiera do ośmiu. Na pozór wydawać by się mogło, że Magyar działa tu przeciwko sobie. Jednak co bardziej wnikliwi komentatorzy uważają, że faktycznie uderza to w Orbána, który przy takich ograniczeniach już nigdy nie mógłby zostać premierem – nawet gdyby jego ugrupowanie ponownie wygrało wybory.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Konfrontacja pomiędzy byłym i obecnym premierem zaostrza się. W ramach walki z – jak to określił Magyar – „mafią Orbána" prokuratorzy dokonali przeszukania w siedzibie partii Fidesz. Formalnym powodem było śledztwo w sprawie korupcji w Narodowym Funduszu Kultury, któremu zarzuca się nielegalne finansowanie kampanii wyborczej partii Orbána. W trakcie przeszukania zajęto komputery, co – jak twierdzi Orbán – było faktycznym celem akcji, a sam fundusz stanowił tu jedynie pretekst. Działania nowego rządu są świadectwem tyranii – mówi były premier, dodając, że jego partia będzie stawiać opór za pomocą wszelkich dostępnych pokojowych środków.

Z Moskwą ostrożnie; z Kijowem jakby mniej

Podczas posiedzenia Grupy Wyszehradzkiej Péter Magyar oświadczył, że kraje tej właśnie grupy – a nie Rosja – będą jego głównymi partnerami, odcinając się tym samym od wyraźnie prorosyjskiego kursu Orbána. Nie oznacza to jednak całkowitego zerwania Rosją. Podobnie jak jego poprzednik, również obecny węgierski premier zdaje sobie sprawę z zależności od rosyjskich dostaw nośników energii i dlatego nie może sobie pozwolić na radykalną zmianę w stosunkach z Moskwą. Nowa szefowa MSZ Anita Orbán (nazwisko na Węgrzech zbyt często spotykane, aby kojarzyć je z byłym premierem) mówi o utrzymywaniu pragmatycznych stosunków z FR, deklarując jednocześnie, że Węgry nie będą blokować antyrosyjskich sankcji. Magyar zapowiedział też kontynuację realizowanej przy udziale Rosji rozbudowy elektrowni atomowej Paks, uznając ją za ważny i energetycznie niezbędny projekt.

Niezmienna natomiast pozostaje polityka Węgier w odniesieniu do militarnego wsparcia Ukrainy.

Podczas szczytu NATO w Ankarze Péter Magyar ogłosił, że priorytetem jego rządu jest stabilizacja gospodarki zamiast rozdętych wydatków na zbrojenia – toteż Węgry nie mają możliwości dozbrajania Ukrainy. „Nie wysyłamy broni, udzielamy pomocy humanitarnej" – mówił,

dodając, że Węgry nie będą partycypować w unijnym kredycie na kwotę 90 mld euro przeznaczonym na broń dla Ukrainy. Również Anita Orbán w wywiadzie dla włoskiego „Corriere della Sera" oświadczyła, że polityka rządu w tym zakresie jest niezmienna, ponieważ wyborcy dali mu mandat na niewysyłanie broni na Ukrainę.

Generalnie nowy rząd węgierski, podobnie jak poprzedni, zachowuje sceptyczny stosunek wobec Ukrainy – choć czyni to w sposób bardziej umiarkowany. Premier Magyar nie jest entuzjastą przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej – i podkreśla, że warunkiem akcesji musi być uwzględnienie praw stutysięcznej mniejszości węgierskiej. Rząd w Kijowie stara się przełamać opór Budapesztu, idąc na pewne ustępstwa. W czerwcu Węgry zawarły z Ukrainą porozumienie pozwalające na terenach, gdzie ludność węgierska stanowi ponad 10 proc. mieszkańców, na używanie języka węgierskiego w administracji publicznej oraz umieszczanie dwujęzycznych napisów na budynkach urzędowych. Magyar chwalił się, że w ciągu trzech tygodni osiągnięto to, co nie udało się Orbánowi przez 10 lat.

Jednak ta zmiana nastroju była raczej krótkotrwała. Miesiąc później, podczas posiedzenia grupy roboczej UE ds. rozszerzenia (COELA), Węgry nie zgodziły się na otwarcie negocjacji w sprawie klastera dotyczącego m.in. kultury, nauki i oświaty. W ten sposób starają się wymusić na Ukrainie spełnienie wszystkich żądań co do praw węgierskiej mniejszości – zwłaszcza dotyczących edukacji w swoim języku.

Magyar mówił też wprost, że Węgry są nadal przeciwne zastosowaniu przyspieszonej ścieżki przyjęcia Ukrainy do Unii. Zdaniem Budapesztu Ukraina musi najpierw sfinalizować wszystkie 33 rozdziały akcesyjne – co zajmie 10 do 15 lat – a następnie poddać kwestię członkostwa pod referendum; co może nastąpić dopiero po zakończeniu wojny z Rosją. Zwracał też uwagę na to, że pierwszeństwo w wejściu do UE należy się dłużej na to oczekującym krajom bałkańskim.

Polska to nie Węgry – a szkoda

Zwycięstwo Pétera Magyara było głośno fetowane przez polską koalicję rządzącą – a on sam, chwilę po wyborze, odbył triumfalne tournée po Polsce. Warto jednak zwrócić uwagę, że w kwestii wojny ukraińsko-rosyjskiej zarówno stary, jak i nowy węgierski rząd prowadzi politykę zgoła odmienną od polskiej.

Rząd polski stawia na rozdęte wydatki zbrojeniowe, kosztem innych potrzeb społecznych, i angażuje się w militaryzację Ukrainy – co sprzyja kontynuacji, a nie zakończeniu wojny. Pokojowa narracja jest nieobecna w polskiej przestrzeni publicznej, gdzie dominuje wojenna retoryka. Angażując się w udzielanie zbrojnej pomocy Ukrainie, Polska staje się pośrednio stroną w tej wojnie – i trudno się dziwić, że rosyjskie drony latają sobie nad naszym terytorium.

Węgry natomiast – niezależnie od tego, kto tam rządzi – mają racjonalne, a nie histeryczne podejście do konfliktu, nie dołączają do bojowych okrzyków europejskich fanatyków, nie trąbią o rosyjskim zagrożeniu i nie opowiadają o tym, jak to Ukraina walczy o powstrzymanie ruskiej nawały na Europę. Dzięki temu Węgrzy nie tylko nie drenują gospodarki monstrualnymi wydatkami na zbrojenia, ale też nie są co parę dni straszeni opowieściami o rosyjskich dronach i aktach dywersji. W tym miejscu nasuwa się pytanie: który kraj jest bezpieczniejszy?

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 610393d1aa

Czy Jankowskiemu znowu stanie (pomnik)?

Rehabilitacja prałata

W klerykalnym świecie odtrąbiono sukces: sąd stwierdził, że ks. Henryk Jankowski nie jest pedofilem. Tyle że, jak to u nich, ziarno prawdy leży w korcu manipulacji. Sąd, owszem, wydał korzystny dla prałata i jego rodziny wyrok, ale w sprawie, która stanowi ledwie wyimek formułowanych wobec zmarłego zarzutów.

Rzecz dotyczy opublikowanego w 2018 r. w „Gazecie Wyborczej" reportażu Bożeny Aksamit „Sekret Świętej Brygidy. Dlaczego Kościół przez lata pozwalał księdzu Jankowskiemu wykorzystywać dzieci?". Autorka cytowała w nim wspomnienia Barbary Borowieckiej, która zarzuciła prałatowi pedofilię i zaciążenie jej nastoletniej znajomej, która miała przez to popełnić samobójstwo. No i w tym przypadku sąd uznał, że nieżyjąca już dziennikarka nie dochowała należytej staranności i nie zweryfikowała rewelacji swojej rozmówczyni. Dowodów na taki akurat przypadek nie ma. Za te uchybienia w pismackiej sztuce „Wyborcza" musi opublikować przeprosiny i wypłacić po 1900 zł każdej z trzech sióstr ks. Jankowskiego.

„Nie można dopuszczać tekstu opierającego się jedynie na tym, co napisze dziennikarz na podstawie opowiadań jednej osoby (...). Strona pozwanego nie potrafiła poza tą rozmową przedstawić innych wiarygodnych dowodów" – argumentował sąd. „Dziennikarz, który przytacza czyjeś wypowiedzi, działać musi w ramach wskazanej dziennikarskiej staranności, podejmując próbę oceny wiarygodności tej informacji. Sąd starał się dociec prawdy we własnym postępowaniu i stwierdził, że relacje (...) na łamach gazety o rzekomym samobójstwie przez wyskoczenie przez okno na gdańskim Dolnym Mieście 16-letniej Ewy, która miała być z księdzem w ciąży, okazały się nieprawdziwe i zarówno archiwa sądowe, jak i milicyjne w latach 1967–70 nie zanotowały takiego zdarzenia" – czytamy dalej w uzasadnieniu wyroku, które przytacza trójmiejski dziennikarz Mariusz Popielarz.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tylko tyle i aż tyle. Oprócz tego wykładu dziennikarstwa niewiele się w sprawie Jankowskiego zmienia. Dla prawicy i kościółkowych wyrok jest jednak podwójnie radosny, bowiem nie dość, że – przynajmniej wybiórczo – wybiela Jankowskiego, to przeprosić musi „Wyborcza". Ten jednostkowy werdykt obrońcy księży obrali sobie jako symbol, który podważa wszystkie „ataki na Kościół", czyli obnażanie występków duchownych. „Historia pomówień wobec śp. księdza prałata Henryka Jankowskiego jak w soczewce skupia wszystkie intencje mediów, które za cel postawiły sobie oczernianie kapłanów i niszczenie reputacji Kościoła. Po szesnastu latach od śmierci kapłana „Gazeta Wyborcza" musi go przeprosić" – triumfuje na swojej stronie internetowej katolicki tygodnik „Niedziela".

Jako się rzekło, sąd stwierdził jedynie, że Jankowski nie był sprawcą ciąży i samobójstwa koleżanki Barbary Borowieckiej. Sęk w tym, że wobec prałata zarzuty formułowała nie tylko informatorka „Wyborczej", ale też wielu innych. Historyk prof. Andrzej Friszke mówił Onetowi wprost: „Ksiądz Jankowski był pedofilem i o tym wszyscy wiemy, ponadto był agentem bezpieki zwłaszcza w latach 1980–1981, a na te wszystkie zarzuty mamy dowody, więc jest ponurą postacią tamtych czasów". Hołubiony na prawicy Sławomir Cenckiewicz, były szef BBN, uważa z kolei, że Jankowski może i pedofilem nie był, ale esbecja i tak trzymała go za jaja z powodów obyczajowych. Dawni znajomi księdza z czasów opozycji przyznawali, że niepokoiły ich zachowania kapelana Solidarności, ale klimat był taki, że duchowny był nietykalny. Tylko Lech Wałęsa nic nie widział – chciał go zresztą zrobić biskupem polowym Wojska Polskiego, ale się nie udało. Fuchę dostała inna wybitna postać polskiego Kościoła, Sławoj Leszek Głódź.

Prałat Jankowski w III RP nie uchodził zaś za wzór cnót i skromności, a raczej za rozpolitykowanego biznesmena przypominającego Trumpa sposobem bycia i obyciem. Tylko że w przeciwieństwie do prezydenta USA nie kochał Żydów.

Hagiografowie Jankowskiego uczepili się wspomnianego wyroku jak pijani płotu i żądają przywrócenia prałata na piedestał. Dosłownie, bowiem życzą sobie odbudowania pomnika, obalonego pod osłoną nocy w grudniu 2019 r. Trzej mężczyźni, którzy dokonali tego czynu, zostali uniewinnieni w 2022 r. Weterani Solidarności szukają dziś śmiałków, którzy równie odważnie postawią Jankowskiego na nogi. „Komitet Budowy Pomnika Księdza Henryka Jankowskiego powinien przystąpić do ponownego postawienia jego pomnika na pierwotnym postumencie, i najlepiej – bez pytania o zgodę władz Miasta, skoro kiedyś ją wydały, a cofnęły w związku z zarzutami, które decyzją sądu zostały unieważnione. Równocześnie skwer, na którym znów stanie, musiałby oczywiście odzyskać swoje poprzednie imię – Księdza Henryka Jankowskiego" – piszą w oświadczeniu wydanym po wyroku.

Jest w tej całej historii jeszcze jeden cichy bohater: Roman Giertych. Wzięty adwokat i polityk prezentuje schizofreniczny stosunek do prałata Jankowskiego, zależny od aktualnego wiatru. Otóż dawno, dawno temu, w 2007 r. jako minister edukacji wręczał księdzu Medal Komisji Edukacji Narodowej. – To człowiek legenda, który poświęcił wiele pracy również wychowaniu młodych pokoleń. Założyciel szkół – jedne z najlepszych szkół w Gdańsku to są te, w których zakładaniu uczestniczył – mówił wówczas. W 2019 r., po publikacji reportażu, pisał na Twitterze (już jako Europejczyk i demokrata): „Przeczytałem tekst w »GW« o ks. Jankowskim. Jeśli to prawda, to należy jego pomnik rozebrać, nazwy ulic czy placów zmienić i odebrać mu wszystkie ordery i medale, które otrzymał (w tym ten, który mu dałem jako szef MEN za zasługi w okresie Solidarności)". Teraz, po wyroku Sądu Apelacyjnego w Gdańsku, mecenas dał się ponieść wszechpolskiej nostalgii: „Cieszę się, że to było kłamstwo. Poznałem ks. Jankowskiego jako bohatera Solidarności i chciałbym żeby takim zapamiętała go historia" – napisał na platformie X. Jaki Roman Giertych wylosuje nam się w kolejnym epizodzie historii prałata Henryka Jankowskiego?

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Ksiądz Waldemar P., związany z parafią w powiecie słupskim, wyszedł z tymczasowego aresztu po tym, jak Sąd Rejonowy w Starogardzie Gdańskim nie zgodził się na jego dalsze stosowanie. Duchowny został zatrzymany w listopadzie 2025 r. przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości. Śledczy wyodrębnili z telefonu klechy intymną korespondencję z małoletnimi, a liczba pokrzywdzonych może sięgać nawet 21 osób. Prokuratura Rejonowa w Starogardzie Gdańskim uważa, że areszt powinien być nadal stosowany, i złożyła zażalenie na decyzję sądu. Śledczy wskazują m.in. na ryzyko kontaktowania się podejrzanego ze świadkami i wpływania na tok postępowania. Ksiądz został odsunięty od posługi duszpasterskiej i ma zakaz pracy z dziećmi. Za przestępstwo seksualnego wykorzystania stosunku zależności wobec małoletniego grozi do pięciu lat pierdla.

✚ Zespół ds. weryfikacji materii Eucharystii Konferencji Episkopatu Polski zlecił badania kilku popularnych marek wina mszalnego. Okazało się, że część produktów nie spełniała podstawowych norm. Wedle zaleceń wino mszalne musi być: naturalne, czyste, wyprodukowane z winogron i bez domieszek, które zepsułyby jego charakter. Wyniki analiz pokazały, że do części mszalnych zajzajerów producenci dodają dodatkowe substancje, w tym słodziki. Bydgoski bepe Krzysztof Włodarczyk wysłał list do kapłanów, osób konsekrowanych i zarządców diecezji, w którym ostrzegł, że mszalne patykiem pisane może powodować wątpliwości dotyczące godziwości mszy. Jak to w Kościele, wszystko podrobione. Proponujemy przejść na czystą.

✚ Ksiądz Jacek W., były wikary w Unisławiu (woj. kujawsko-pomorskie), został skazany na dziewięć lat pierdzenia w pasiaki. Sąd Apelacyjny w Gdańsku zaostrzył wyrok wydany wcześniej przez Sąd Okręgowy w Toruniu. Postępowanie dotyczyło byłego ministranta, który w czasie części zdarzeń miał mniej niż



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

15 lat. Klecha podawał małoletniemu alkohol i wykorzystywał istniejącą między nim a chłopcem zależność. Zainscenizował mszę, podczas której poświęcił i podarował nieletniemu zakładany na palec różaniec, a następnie powiedział, że od tej chwili są „mężem i żoną". Sąd pierwszej instancji skazał ks. Jacka W. na siedem lat pierdla oraz zasądził 100 tys. zł zadośćuczynienia. Od wyroku odwołały się zarówno obrona, jak i prokuratura. Jak donoszą wiewiórki, część mieszkańców Unisławia wciąż broni duchownego mimo zapadłego wyroku. Obrzydliwe.

✚ Sejm poparł uchwałę ustanawiającą rok 2027 Rokiem św. Andrzeja Boboli, jednego z patronów Polski. W przyszłym roku przypada 370. rocznica męczeńskiej śmierci jezuity. Zaznaczono, że był on wielkim patriotą i obrońcą wiary katolickiej. Pragniemy przypomnieć o wszystkich błogosławieństwach, jakie spłynęły na Polskę rok po sprowadzeniu do ojczyzny szczątków doczesnych św. Andrzeja Boboli w 1938 r. Głosowało 424 posłów, 401 poparło uchwałę, przeciw było 12, wstrzymało się 11.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Krew w piach

Nie tylko katolicy mają niebezpieczne zajoby

Świadkowie Jehowy kojarzą się z pukaniem do drzwi (choć ta forma agitacji od czasów pandemii mocno się skurczyła), ogłaszanych licznych dat końców świata oraz poważnym traktowaniem zasad własnej wiary. To ostatnie odróżnia ich od choćby katolików, których hipokryzja jest wręcz legendarna. Świadkowie uchodzą też za uczciwych pracowników, stąd też wielu pracodawców poluje na nich jak oni na nowych wyznawców. Od pewnego czasu jednak w sieci pojawia się coraz więcej opowieści byłych świadków Jehowy, z których wyłania się nieco mniej optymistyczny obraz tego związku wyznaniowego. Hipokryzją nie ustępują katolikom, ale skrzętniej to ukrywają i skutecznie usuwają tych, którzy się buntują.

Jest jeszcze jedno skojarzenie ze świadkami Jehowy: zakaz spożywania i transfuzji krwi. O ile bez kaszanki czy czerniny człowiek się jakoś obejdzie, o tyle przetoczenie krwi nieraz ratuje życie. Dotychczas jehowici mieli całkowity zakaz transfuzji krwi pod groźbą wykluczenia ze wspólnoty. Wykluczenie jest dla świadka o tyle bolesne, że dotychczasowi bracia i siostry stosują wobec odszczepieńca ostracyzm i zrywają wszelkie kontakty. Zdarzają się przypadki, że rodzice wyrzekają się dzieci, mężowie żon itd. Nie każdy jest gotów na tak radykalny krok. Z drugiej strony ci, którzy na transfuzję się nie zdecydują, swojej rodziny i przyjaciół i tak już nie spotkają. Tragiczny dylemat – religie się w nich specjalizują.



Rys. WIDGET

Ale oto nastąpił kopernikański przełom: jehowici mogą wspomagać się transfuzją. Tzn. prawie mogą. Ciało kierownicze, czyli taki ich Watykan (zapewne obraziliby się na to porównanie, bo papiestwa nienawidzą), złagodziło normy obowiązujące wyznawców. Żeby nie wyjść na idiotów, uczynili to w sprytny sposób, który może stać się inspiracją dla teologów i polityków. Nadzorcy organizacji świadków Jehowy ogłosili, że krew składa się z czterech składników: krwinek czerwonych, krwinek białych, osocza oraz płytek krwi. I od teraz każdy we własnym sumieniu ma zdecydować, czy te składniki zechce wykorzystać w celach medycznych. Zakaz nadal obowiązuje krew w całości, ale już poszczególne składniki – luzik. Salomonowe rozwiązanie.

Nie wszystkim jednak się ta rewolucja podoba. Nie dlatego, że są przeciwko transfuzji, ale dlatego, że zakaz utrzymywano tak długo. Tulia Topa, eksświadek Jehowy i autorka książki „Jak rozbiłam szkło. Moje dorastanie wśród Świadków Jehowy", skomentowała decyzję ciała kierowniczego w mediach społecznościowych: „Nawet nie macie pojęcia, jaka jestem wściekła. Potrafię sobie jedynie wyobrazić, co muszą czuć osoby, które straciły kogoś bliskiego, bo taki zakaz Świadkowie Jehowy ustanowili w 1945 roku. W 1994, tuż po moich urodzinach

wydali nawet gazetkę, w której szczycą się niepełnoletnimi ofiarami zakazu transfuzji. Zrobili z nich superbohaterów. Wzór do naśladowania. Przykład ogromnej wiary.

Jestem wściekła, bo znam tę sektę na wylot i wiem, że na jakiekolwiek wyjaśnienia czy skruchę nie możemy liczyć. Jehowa oświetlił guru i macie to zaakceptować. Koniec kropka. Krwi nie wolno, krew wolno. Jak owieczki na rzeź".

Pewne mechanizmy nie mają konkretnej przynależności wyznaniowej.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl 610393d1aa

Klej, wola i języki

Mówią, że historia jest nauczycielką życia. Sport także może być.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy byłem chłopakiem i sam rzucałem lepką od kleju piłką do bramki, wmawiano nam, że sport kształtuje pozytywne cechy charakteru, a w ogóle: w zdrowym ciele – zdrowy duch. Trenując piłkę ręczną, ani ja, ani koledzy nie zastanawialiśmy się nad tym. Po prostu fajnie było przyjść na trening, wyszaleć się, ponabijać sobie guzy, które leczyliśmy później zapomnianą już dzisiaj wodą Burowa. Nie wiem, czy specyfik jest jeszcze dostępny w aptekach, ale jeśli tak, gorąco polecam go na siniaki.

Faul pozytywny

Piłka ręczna – no, może poza rugby – to najbardziej kontaktowa gra zespołowa. Faul nie jest tam czymś o negatywnym wydźwięku, ale przeciwnie – normalnym, a wręcz pożądanym elementem gry obronnej. Z perspektywy czasu myślę, że to jednak była szkoła charakterów. Uczyliśmy się koleżeństwa, odpowiedzialności i innych cech przydatnych w życiu. Po meczu radośni, jeśli wygraliśmy, zawiedzeni w przypadku porażki, zmywaliśmy w łazience czarny klej z paluchów i gadaliśmy o zakończonym meczu. To były szczere rozmowy. Każdemu dostało się od kolegów to, co mu się należało. Dlaczego później w życiu nie umiałem już być tak szczery? Co sprawiało, że często milczałem, gdy gdzieś działa się krzywda albo obłuda i sam bywałem obłudny? Nie wiem. To już zadanie dla psychoanalityka.

Słówko o tym kleju dla tych, którzy nie znają piłki ręcznej. Paluchy smarowaliśmy po to, aby piłka – wcale nie tak mała, jak wydaje się podczas telewizyjnej transmisji – lepiej siedziała w dłoni. Czasem piłka była tak dokumentnie oklejona, że nie chciała turlać się po parkiecie, przylepiała się do podłoża. W mojej epoce były to normalne kleje, o ile pamiętam, najczęściej ogrodnicze, używane do szczepienia drzewek owocowych, teraz stosuje się bezbarwną żywicę, specjalnie stworzoną do piłki ręcznej.

Gdybym wówczas miał taki rozum, jak mam dziś (nie wolno tak myśleć!), zrozumiałbym, dlaczego przejście z wieku juniora do seniora i wynikająca z tego konieczna zmiana barw klubowych na AZS UW (zdałem na studia) była dla mnie barierą nie do przeskoczenia. Nie umiałem się zintegrować z nową drużyną, nie miałem tam kumpli, trener też nie pomagał, bo rzadko pozwalał mi pograć; w końcu jako nowicjusz byłem słaby. Zarzucałem sportową torbę na ramię i szedłem na trening raczej z przyzwyczajenia niż dla przyjemności. Oczywiście nie chciałem szczerze powiedzieć trenerowi, że mam tego dość, ale wykorzystałem banalną jak na piłkę ręczną kontuzję (złamanie małego palca dłoni) i już nie wróciłem do treningów. O, proszę, w nowym kolektywie, w którym nie miałem kumpli, już nie potrafiłem zdobyć się na uczciwość. Nawiasem mówiąc, trenerowi chyba nie było żal pozbyć się zawodnika, który niechętnie uczestniczy w zajęciach. Nawet nie porozmawialiśmy.

Kwestia woli

Teraz płynnie – mam nadzieję – przechodzimy do czegoś, o czym w sporcie mówi się często: cech wolicjonalnych. Starotestamentowy Dawid pokonał Goliata dzięki podstępowi, można nawet powiedzieć, że faulował, bo w pojedynku niespodziewanie zabił rywala kamieniem wyrzuconym z procy. Sportowi Goliaci bywają jednak (choć rzadko) pokonani przez wątłych Dawidów bez uciekania się do nieczystych zagrań. Najczęściej decydują o tym właśnie cechy wolicjonalne. Ambicja skazanych na porażkę potrafi wydobyć z nich maksimum sił i umiejętności, a faworytowi trudno zmobilizować się do rywalizacji ze słabeuszem.

Gdy zaczynałem pracę jako dziennikarz w „Przeglądzie Sportowym”, powoli stawałem się cyniczny. Wyśmiewać zacząłem obowiązujące oficjalnie hasło „Sport to zdrowie”, bo coraz częściej spotykałem byłych sportowców, którym właśnie ten sport odebrał zdrowie. Moim pierwszym szefem w „Przeglądzie” był nieżyjący już Sylwester Grzeszczak, dawny reprezentacyjny rugbysta, który na boisku stracił oko. Karol Bielecki, nowy prezes klubu Industria Kielce, stracił oko na parkiecie piłki ręcznej. Kontuzje trapiły nawet najsławniejszych, pod koniec kariery borykała się z nimi Irena Szewińska. Mój serdeczny i też już nieżyjący kolega dziennikarz sportowy Andrzej Biliński uprawiał lekkoatletykę, konkretnie rzut dyskiem, i tak zmaltretował sobie dyski w kręgosłupie, że nie mógł się obracać ani pochylać. Teraz, jak wspomniałem, sportem rządzą pieniądze, ale

ambicja i zaangażowane obok czysto sportowych umiejętności są nadal w cenie. „Nie chciało im się grać” – to najpoważniejszy zarzut, jaki może usłyszeć drużyna, a niestety wyrażano go nie tak rzadko pod adresem naszej piłkarskiej reprezentacji.

Dlatego na cechy wolicjonalne tak dużą uwagę zwracają szkoleniowcy i uczą ich nawet swoje największe gwiazdy.

Sport wielojęzyczny

Sport kształtuje także jak najbardziej praktyczne życiowe biegłości. Trudno chyba sobie wyobrazić lepszą szkołę językową niż klub sportowy.

Czy nie zaskoczyło was, że hiszpański piłkarz Jesús Imaz biegle mówi po polsku i w naszym języku udziela wywiadów? A przecież do Ekstraklasy przyszedł zaledwie w 2017 r. Wcześniej świetnie zaczął posługiwać się mową Mickiewicza Stéphane Antiga, siatkarz, a później trener. Inna sprawa, że po polsku rozmawia swobodnie, ale gdy przychodzi konieczność instruowania swojej drużyny, przechodzi na angielski. Nie tylko dlatego, że w zespole nie wszyscy są Polakami, ale po angielsku potrafi wyrazić się precyzyjniej.

Podobnie zdarzyło się w moim życiu, choć akurat nie z językiem angielskim. Z żoną Rosjanką umówiliśmy się, że będziemy rozmawiać w jej języku – chodziło o to, aby szlifować mój rosyjski. Cóż z tego, jeżeli jak gdyby z automatu przechodziliśmy na polski, którym ona posługiwała się bieglej niż ja rosyjskim.

Żużlowiec Patrick Hansen to jeden z moich ulubionych współczesnych bohaterów polskiego sportu. Duńczyk nie tylko biegle mówi po polsku (tak biegle, że mógł występować w charakterze współkomentatora żużla w Canal+), ale jeszcze swobodniej wyraża się w godce śląskiej, której nauczyła go ukochana Martyna.

Hansen wziął udział w fatalnym wypadku podczas meczu jego ówczesnego klubu ROW Rybnik w Ostrowie Wielkopolskim. Tuż po wyjściu z wirażu Matias Nielsen delikatnie (i bez swojej winy) popchnął Hansena, ten wpadł na swojego kolegę z drużyny Patryka Wojdyłę i obaj z wielką prędkością uderzyli w bandę. Duńczyk wleciał w jej drewnianą część i stracił przytomność. Nagranie z tego zdarzenia krąży po internecie, ale jeśli mogę coś radzić, nie szukajcie go. Wszystko wygląda makabrycznie.

Długa rehabilitacja, w której pomagała Patrickowi Martyna, dała pozytywne efekty. Pęknięcie kręgosłupa sprawia, że żużlowiec mimo wszystko chodzi na własnych nogach, choć utykając. Dwa miesiące temu podjął się beznadziejnej misji. Został trenerem klubu Włókniarz Częstochowa, który przed jego przyjściem nie zdobył ani jednego punktu. Ze swoimi zawodnikami stoczył heroiczną walkę o pozostanie w Ekstralidze. Jak gdyby emocji nie było dość, o ostatecznym wyniku spotkania ze Stalą Gorzów, decydującego o pozostaniu w najwyższej klasie rozgrywkowej, rozstrzygała decyzja sędziego po kraksie w ostatnim wyścigu. Decyzja była niekorzystna dla drużyny Patricka Hansena. I wiecie, co zrobił? Nie, nie składał żadnych protestów ani odwołań. Po prostu pogratulował rywalom i powiedział, że decyzja sędziego była słuszna. Czy wiele osób działających w sporcie zdobyłoby się na coś takiego?

Słowo uniwersalne

Jedno jest pewne. Zagraniczni sportowcy występujący w Polsce na początku poznają jedno słowo: „kurwa”. Mają się od kogo uczyć. Nasi zawodnicy najczęściej w ten sposób kwitują swoje udane i nieudane zagrania. Nie trzeba być specjalistą od czytania słów z ruchu warg, aby stwierdzić, że tym pięknym słówkiem o prasłowiańskiej etymologii posługuje się na korcie nawet elegancka zazwyczaj Iga Świątek.

Polscy sportowcy w większości swobodnie mówią po angielsku. Cóż, wielu z nich poci się na treningach z myślą o tym, że gdy osiągną odpowiednio wysoki poziom, wyjadą za granicę. Zachwycamy się teraz naszą lekkoatletką biegającą na średnich dystansach Klaudią Kazimierską. Ona trenuje w USA i studiuje matematykę na Uniwersytecie Stanu Oregon. Czy byłoby to możliwe, gdyby w szkole wagarowała na lekcjach angielskiego?

A co powiedzieć o Tomaszu Frankowskim zwanym Tomek łowca bramek? Biegle włada angielskim, francuskim, hiszpańskim i rosyjskim. Dziś sport kształci w tej dziedzinie nie gorzej niż uniwersytety. Frankowski był zawodnikiem m.in. R.C. Strasbourg, Nagoya Grampus, Poitiers FC, FC Martigues, Elche CF, Wolverhampton Wanderers FC, CD Tenerife, Chicago Fire. Wygląda na to, że tylko z japońskiego miasta Nagoya nie przywiózł językowego trofeum. Nic dziwnego, na wyspie Honsiu zagrał ledwie siedem meczów i strzelił jedną bramkę. Za krótko tam był, żeby dowiedzieć się, jak w języku japońskim brzmi „Franek łowca bramek” i jakimi znakami trzeba to zapisać.

W jaki sposób Tomasz Frankowski nauczył się rosyjskiego, diabli wiedzą. W Rosji nie grał. Urodził się w 1974 r. Obowiązek nauki języka naszego wschodniego sąsiada jeszcze działał, ale pełnego kursu nie zdążył zaliczyć. Widać ma jakieś super zdolności językowe.

Kłopoty z numerami

Nie ma się co czarować, za czasów mojej młodości w PRL zagraniczne języki, z wyjątkiem jednego, były mocno podejrzane. Niewiele osób władało jakimś, także w sporcie.

Zawodnicy, działacze, a także – nie ukrywajmy – dziennikarze zarówno w mowie, jak i w piśmie nie byli poliglotami, a raczej wręcz przeciwnie. Oczywiście znaliśmy kilka międzynarodowych zwrotów, tak żeby nie być całkiem zagubionymi podczas zagranicznych imprez, ale to wszystko. Niedawno złapałem się na tym, że do dziś znam liczby w wielu językach, nawet po węgiersku umiem coś tam policzyć. Pamiątka po mojej zawodowej przeszłości.

Sportowcy też mieli jakieś swoje międzynarodowe kody, więc na boisku mogli się porozumiewać niezależnie od narodowości. W restauracji mieliby jednak kłopot z zamówieniem czegokolwiek, zwłaszcza że na ogół organizatorzy imprez podawali im do stołu to, co oni sami chcieli.

Jeśli chodzi o działaczy, to w PRL nikt ich nie pytał, czy władają językiem Szekspira, Goethego albo Prousta. Aby otrzymać atrakcyjny zagraniczny wyjazd, wystarczyło mieć dobre umocowanie we władzach partyjno-państwowych. Fatalnie odbiło się to na wspaniałej piłkarskiej reprezentacji Polski podczas mistrzostw świata w Monachium w 1974 r. Orły Górskiego zajęły w imprezie trzecie miejsce, grając z zupełnie pokręconymi numerami na koszulkach. Któryś z działaczy dostał od organizatorów pismo, na którym miał wypisać, z jakimi numerami zagrają piłkarze. Szczegółów jednak nie doczytał i do numerów przypisał zawodników co prawda formacjami, ale w ramach tych formacji w porządku alfabetycznym. Kibice byli więc zaskoczeni, gdy zobaczyli podstawowego bramkarza Jana Tomaszewskiego z nr 2 na swetrze, Kazimierz Deyna biegał po boisku z dwunastką na plecach, a Grzegorz Lato zdobył tytuł króla strzelców z nr. 16. Z takimi pokręconymi numerami Polacy pokonali m.in. Argentynę, Włochy, Szwecję, Jugosławię, a w walce o trzecie miejsce – Brazylię. Po tym sukcesie niektórzy piłkarze – jeśli można tak powiedzieć – przywiązali się do swoich nowych numerów i już przy nich zostali, większość jednak wróciła do tradycji. Kazimierz Deyna grał z dziesiątką i w reprezentacji, i w klubie. Po jego śmierci w warszawskiej Legii numer ten został zastrzeżony.

Na obronę naszych działaczy mogę tylko dodać, że nie wyłącznie oni borykali się z numerowymi problemami. Podczas Mundialu w 1982 r. kibice przecierali oczy ze zdumienia, gdy na boisko w reprezentacji Argentyny genialny pomocnik Osvaldo Ardiles wybiegł z nr. 1 na koszulce. Jak świat światem, jedynka zawsze przysługiwała bramkarzowi. Po prostu Argentyńczycy wysłali do FIFA całą listę zawodników w porządku alfabetycznym. Zapewne formularz przysłany został po angielsku, bo mistrzostwa rozgrywano w Hiszpanii, a z tym językiem Argentyńczycy akurat nie mieliby kłopotów.

Z jakim numerem ja grałem? Starość płata figle. Nie pamiętam. Zresztą grałem bardzo krótko. Na pewno na lewym skrzydle, bo jestem praworęczny. Nie wyjeżdżałem za granicę, więc nie wiem, jak brzmiałby mój numer po baskijsku albo po szwedzku, gdyby akurat tam rzuciły mnie sportowe losy.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 23.09.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 610393d1aa

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Co?! – zdumiał się prezydent Polski Karol Nawrocki. – Jak to żaden?

– No żaden – odparł kalendarz, wzruszając ramionami. – Nikt nie chciał zapłacić stu koła papieru, żeby się z tobą spotkać fejs tu fejs. Ani w Stanach, ani w Polsce, ani teraz, nigdzie.

Nawrocki zrobił wściekłą minę.

– Co mówiłem? – warknął.

– Przepraszam. – Kalendarz pokornie pochylił głowę i się poprawił: – Nikt nie chciał wyłożyć tyle kasy, żeby spotkać się z panem, panie prezydencie. Z waszą prezydencką mością.

– A pakiety złoty i srebrny?

– Jak wyżej – odpowiedział kalendarz. – Wygląda na to, że z tej mąki chleba nie będzie.

– Czyli?

– Czyli z tego źródełka kasa nie popłynie. Było pozostać przy dziwkach i kawalerach.

– Kawalerach?

– Kawalerkach – sprostował kalendarz. – Kawalerkach od rencistów. I przy czapkach, kubkach i koszulkach.

– A co na to Rabenda?

– Na co? Na dziwki, kawalerki i koszulki?

– Na pakiety – westchnął Nawrocki.

– Rabenda to debil. Chciwy debil. Jeśli chciałbyś wiedzieć…

– Co mówiłem?! – wrzasnął prezydent.

– Jeśli pan prezydent chciałby wiedzieć, panie prezydencie, to na miejscu pana prezydenta Rabendę bym wywalił na zbitą mordę. Prędzej czy później doprowadzi do katastrofy.

– To ja decyduję o współpracownikach – rzekł stanowczo Nawrocki. – Mówili, że Andruszkiewicz to debil, a jednak się sprawdza. Że Poboży to głąb, a jednak daje radę. Że Przydacz to krętacz, a jednak…

– A co mówili o Magdzie?

– O jakiej Magdzie?

– O Magdzie Hajduk – odpowiedział kalendarz i zarżał lubieżnie.

– Co mówiłem?

– Że o pani Magdalenie Hajduk ani mru-mru, wasza prezydencka mość – odpowiedział kalendarz, pokazując, że zamyka usta na kluczyk.

– A teraz wyjdź! – rozkazał prezydent, a potem, pytany przez dziennikarzy o pakiety platynowe, złote i srebrne, odpowiedział zgodnie z prawdą, że o swoim kalendarzu decyduje sam.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA znów stróżuje w Białymstoku, a **JOANNA SENYSZYN** walczy w Krakowie. Znowu się minęły.

Wołk-Łaniewska: – I co ty robisz w tym podwawelskim grodzie?

Senyszyn: – Pięknie to ujęłaś…

– Prawda? To moja ulubiona poetyka, kiedyś stanowiąca wyłączną domenę mediów regionalnych, a teraz obecna także w najważniejszych telewizjach informacyjnych: „Amatorzy białego szaleństwa zdążają z podwawelskiego grodu do zimowej stolicy Polski”…

– To prawda, że dziennikarstwo informacyjne nabrało poetyczności w ostatnich czasach. Odpowiadając na twoje pytanie: popieram kandydata na prezydenta Krakowa, Sławomira Pietrzyka z SDPL. Nawet hasło mu wymyśliłam, bo startuje z ostatniego, ósmego miejsca: „Odwróć tabelę, Pietrzyk na czele”.

– Też poetyckie.

– Prawda? Sławek jest kandydatem prawdziwie lewicowym. Ma bliski mi program: uczynić Kraków miastem dla mieszkańców, a nie tylko – jak do tej pory – dla deweloperów i turystów. A z konkretów: dać Krakowianom bezpłatny transport miejski, co zarazem zredukuje smog, uwolnić więźniów czwartego piętra. Ma też tę ogromną zaletę, że nie jest posłem ani senatorem…

– A to źle być posłem albo senatorem?

– Dla kandydata na prezydenta nawet bardzo źle, bo oznacza, że łamie społeczną umowę zawartą ze swoimi wyborcami. Skoro został wybrany, powinien pracować całą kadencję, a nie kombinować, jak zmienić posadę. Daria Gosek-Popiołek jest posłanką, Monika Piątkowska senatorką. Czyżby znudziła im się praca, do której najęły się na cztery lata i chcą prysnąć do innej roboty? Skoro tak nisko cenią sobie mandat w parlamencie, że chcą go porzucić dla miejskiej prezydentury, niech zadeklarują, że w przyszłym roku nie będą kandydować ani do sejmu, ani do senatu.

– To byłoby i logiczne, i uczciwe. Ale jakoś tego nie widzę…

– W przypadku Piątkowskiej dochodzi jeszcze aspekt finansowy: gdyby wygrała wybory w Krakowie, trzeba będzie uzupełnić jej miejsce w senacie, czyli robić kolejne kosztowne wybory. A za rok znowu. Jakby nie było ważniejszych wydatków w budżecie.

– Jest nawet gorzej: Piątkowska sama pochodzi z wyborów uzupełniających, po tym jak w marcu zeszłego roku mandatu zrzekł się Bogdan Klich, którego Tusk postanowił wysłać na ambasadora do USA. Skądinąd wiedząc doskonale, że Klich pozostanie tam w randze kierownika, bo nie ma szans, żeby Duda go zaakceptował. Nawiasem mówiąc, zgadzam się z Dudą.

– Odważne wyznanie.

– Ten facet był ministrem obrony narodowej, kiedy podlegli mu wojskowi piloci z arogancji, nieodpowiedzialności i lekceważenia reguł rozwalili prezydenta! I 10 generałów! Klich powinien się podać do dymisji 10 kwietnia 2010 r. o 8.45 rano. A jakby miał honor, to jeszcze palnąć sobie w łeb na dobrą miarę.

– Nie przesadzaj.

– No dobra, może przesadziłam. Ale odpowiedzialność polityczną absolutnie powinien ponieść. Problem w tym, że Polsce nikt nie słyszał o czymś takim jak odpowiedzialność polityczna. Tutaj obowiązuje zasada wyrażona jakże trafnie w „Karierze Nikosia Dyzmy”, gdzie minister zapytany, czy wobec zarzutów o łapówki poda się do dymisji, odparł z namaszczeniem: „Tu pani uraziła moją dumę Polaka. Polak nie podaje się do dymisji, Polak tkwi na posterunku do końca”.

– Pytanie, czyjego końca. Ale masz rację – tylko czy to taka unikatowo polska postawa? Mam wrażenie, że dziś nikt nie podaje się do dymisji. Słyszałaś o kimś, kto by się podał?

– Neil Parish!

– A kimże jest Neil Parish?

– Był członkiem Izby Gmin, który złożył mandat w 2022 r. po tym, jak koleżanki z Partii Konserwatywnej doniosły, że w trakcie obrad oglądał porno na komórce.

– To rzeczywiście wzór do naśladowania…

– A żebyś wiedziała. Neil padł ofiarą zbiegu niefortunnych okoliczności, ale wziął to na klatę i odszedł z honorem. Nie to, co Polacy...

– A jakież to okoliczności zmusiły go do oglądania pornografii w Westminsterze?

– Spisek big techów z reklamodawcami… Opowiadam. Czekając na głosowanie, Neil, jak przystało na farmera, szukał traktora, ale źle wpisał nazwę i wyświetliła mu się strona sadomaso, która wyraźnie go zafascynowała…

– Bardzo wiarygodne wyjaśnienie.

– Na pierwszy rzut oka nie i wszyscy się z tego śmieli. Ale posłuchaj. Otóż traktor – a w zasadzie kombajn – którym poseł był zainteresowany, nazywa się „Claas Dominator”. Co sprawia, że historia o pomyłce w nazwie nie jest już tak zupełnie absurdalna – a także wyjaśnia, czemu bogobojny, żonaty od czterech dekad z tą samą wiejską nauczycielką, 66-letni rolnik z konserwatywnego okręgu w Devon mógł ulec zafascynowaniu, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczył, co potrafi dać mężczyźnie domina z klasą.

– Niby racja.

– Widzisz? I zachował się godnie. Czyli nie jak Polak. Zmieniając temat: o aborcji chciałam porozmawiać. Choć może „chciałam” to nie jest właściwe słowo. Obawiam się, że musimy, bo Donald znowu nas zrobił w – za przeproszeniem – człona.

– Masz na myśli odwołane posiedzenie komisji nadzwyczajnej, która miała zebrać się pierwszy raz od ponad dwóch lat, ale się nie zebrała z powodu telefonu z kancelarii premiera?

– To właśnie.

– Posiedzenie zostało zwołane po to, żeby wszechpartyjne prezydium komisji nie musiało się tłumaczyć, że bierze grubą kasę, choć nie pracuje. „Fakt” wyliczył, że do tej pory za swoje nicnierobienie posłanki od prawa do lewa zgodnie wzięły 277 tys. zł.

– No dobra, ale zostało zwołane. Ale potem – jak doniosła „Gazeta Wyborcza” – „premier wystraszył się, że zabraknie koalicyjnej jedności”… Co jest szczególnie przejmujące po tym pokazie jedności, jakim było wybranie do Trybunału Konstytucyjnego ministra Berka, który nie tylko nie jest apolitycznym posiadaczem wybitnej wiedzy prawniczej, ale nawet nie spełnia wymogów formalnych…

– Przedtem popierałaś Dudę, teraz mówisz jak Nawrocki…

– Nic na to nie poradzę, że czasem mają rację. Nawet zepsuty zegarek podaje prawdziwą godzinę dwa razy na dobę. Wracając do aborcji: Kaja Godek ogłosiła, że „w obliczu mobilizacji środowisk pro-life zwolennicy zabijania poczętych dzieci skapitulowali przed obrońcami życia”. Czy środowiska „prodemokratyczne” oraz „postępowe” mogłyby być bardziej żałosne?

– Nie kuś losu. Potencjał kompromitacji kunktatorów jest nieskończony. Na pocieszenie mogę ci opowiedzieć wesołą dykteryjkę o tym, jak to było, kiedy lewica – w mojej osobie – nie była kunktatorska i serio walczyła o prawa kobiet.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Opowiadaj, pocieszenie bardzo mi się przyda.

– Otóż w 2010 r. równolegle do miesięcznic smoleńskich odbywały się miesięcznice senyszynowe. Zainaugurowała je w imieniny Joanny, 24 maja, blogerka Justina1988, studiująca na papieskim uniwersytecie w Krakowie.

– Dziewczę, jak należy zgadywać, młode i niewinne.

– I takież były jej intencje. Napisała – cytuję – „poglądy pani Joasi Senyszyn nie są chrześcijańskie”.

– Młode, niewinne i bystre!

– A także delikatne i taktowne. Słuchaj dalej: „Nie będę jej nazywała głupią, starą wiedźmą, ale taką, która nie poznała jeszcze Miłości Jezusa”. Zainspirowało ją Święto Maryi Wspomożycielki Wiernych, Matki Kościoła i imieniny Joanny: „Postanowiłam pościć tego dnia o chlebie i wodzie. Będę robić tak każdego 24 dnia miesiąca dopóki pani Senyszyn i jej ugrupowanie nie zejdzie ze swojej piekielnej drogi. Oddaję to Maryi Wspomożycielce, bo wiem, że siły zła są ogromne”.

– Intermittent fasting.

– Słucham?

– Post przerywany. Taka metoda odchudzająca. Przeważnie w cyklach dobowych – np. jesz od południa do 6 p.m. – ale niektórzy robią to też w cyklach tygodniowych. O miesięcznych jeszcze nie słyszałam, ale jak to było 16 lat temu, to może metoda nie była jeszcze do końca opracowana.

– Metody na odchudzanie przeważnie są niedopracowane. Za to metody polityków na wyłudzanie pieniędzy są coraz bardziej perfekcyjne.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 610393d1aa